BIBLIOTEKA RODZINNA.

JÓZEF BLIZIŃSKI

NOWELE
HUMORESKI.


Biblioteka Rodzinna
Ze zbioru książek
1890.

Do Szanownych P. T. Abonentów „Biblioteki Rodzinnej“.

Z dwudziestym tomem zamykamy pierwszy rocznik „Biblioteki rodzinnej“ a rozpoczynając drugi rok zmieniamy równocześnie tytuł naszego wydawnictwa na

„Illustrowana Biblioteka Rozmaitości”.

Tom pierwszy „Illustrowanej Biblioteki Rozmaitości“, który Szanowni P. T. Abonenci nasi otrzymają, tak treścią swoją jak i formą zewnętrzną usprawiedliwia zmianę tytułu. Program nasz rozszerzyliśmy do najmożliwszych granic zaprowadzając w nowym wydawnictwie barwną rozmaitość treści. Ta okoliczność, że odtąd nietylko utwory belletrystyczne, ale i popularne rozprawy naukowe przynosić będziemy, zdaje się nam być najkorzystniejszą reformą wydawnictwa. Najsłynniejsi powieściopisarze i uczeni raczyli nam przyrzec swe współpracownictwo. Załączony prospekt „Illustrowanej Biblioteki Rozmaitości“ wykazuje najdowodniej, że podjęcie takowej połączone było z wielkiemi ofiarami materyalnemi, które ponieśliśmy w tem przekonaniu, że za tak niską cenę nikt jeszcze nie był w stanie podjąć publikacyi podobnego wydawnictwa.

Załączając w końcu prośbę, aby dotychczasowi P. T. Abonenci nasi i nadal względami swemi łaskawie nas zaszczycać i gotowość swą do dalszej przedpłaty agentowi lub też księgarni, w której dotychczas abonowali, objawić zechcieli,

zostaję z najgłębszym szacunkiem

Franciszek Bondy.

PROSPEKT.

Podejmując wydawnictwo

„Illustrowanej Biblioteki Rozmaitości"

będzie naszem usilnem staraniem, aby takowa tak co do treści swojej jakoteż i formy zewnętrznej odpowiedziała wszystkim wymaganiom, jakie do wydawnictw tego rodzaju przywięzywane bywają.

Każdy tom „Illustrowanej Biblioteki Rozmaitości" zawierać będzie początek a względnie ciąg dalszy powieści najsłynniejszych pisarzy polskich, nadto kilka innych utworów w całości, jako to: nowelle, humoreski, opowiadania, fantazye, popularne rozprawy naukowe, sylwetki, szkice literackie, poezye, utwory dramatyczne i t. d.

Rzut oka na treść tomu pierwszego najlepiej każdego przekona, że nie szczędziliśmy żadnych starań, aby wydawnictwo nasze stało się prawdziwą skarbnicą literatury polskiej. Dowodem tego nazwiska tych autorów, którzy swe współpracownictwo łaskawie nam przyrzec raczyli: Dr. Adam Asnyk, Michał Bałucki, Kazimierz Bartoszewicz, Dr. Adam Bełcikowski, Józef Bliziński,

JÓZEF BLIZIŃSKI.

NOWELE

HUMORESKI.

Wiedeń.
Nakładca Franciszek Bondy.
I. ul. św. Anny 11.

Czcionkami W. Steina w Wiedniu.

BABA.

Każdy z nas miał w życiu swojem chwile, których pamięć wśród chaosu wspomnień obojętnej natury trwa ciągle i przetrwa w całej swej żywości do grobowej deski. Często bywa to zdarzenie zupełnie obojętne, nieinteresujące nas wcale i nie mające żadnego wpływu na wypadki naszego życia, a przecież wbiwszy się w pamięć, przypomina się niemal dokuczliwie.

Spotkało mnie coś podobnego przed kilkanastu laty Wyjeżdżając z Warszawy do domu, byłem na dworcu kolei przez bardzo krótką chwilę prostym widzem jednej z tych najzwyczajniejszych w świecie scen, odgrywających się tamże codziennie przy odprowadzaniu osób odjeżdżających, a której pomimo to nie zapomnę nigdy.

Lubię wygodę i spokój; nie mogę cierpieć gorączkowego pośpiechu w żadnej czynności, więc swoim zwyczajem przybyłem wcześnie na dworzec. Oddawszy upatrzonemu posługaczowi rzeczy do wagi, zostawiwszy mu pieniądze na kupno biletu drugiej klasy i poleciwszy, aby mi wyniósł do wagonu podręczny tłómoczek, nie obawia-

jąc się już niczego, coby mi mogło zakłócić spokój przy wsiadaniu, oddałem się swoim zwyczajem obserwacyom, na które miałem dobre pół godziny czasu. Robię to z upodobaniem, bo tak fizyognomie podróżnych i osób odprowadzających ich, jak epizody rozmaite wynikające z pośpiechu, nierozgarnięcia, żalu przy pożegnaniu i t. p. przedstawiają nader wdzięczne pole do studyów. Nie mogę pojąć, dlaczego, o ile wiem, żaden z naszych malarzy rodzajowych i charakterystycznych nie wziął sobie za przedmiot do obrazu towarzystwa zebranego w sali oczekiwań. Co za materyał!

Dla mnie jest to widowiskiem, którego program urządzam sobie podług przyjętego raz na zawsze systemu: Mając czasu do woli, wychodzę najprzód na schody głównego podjazdu, przypatrując się fizyognomiom zajeżdżających. Wcześniej przybywający okazują cały swój spokój, bo są pewni swego i są to temperamenta podobne moim. Tacy sami pedanci i wygodnisie, zajeżdżają bez pośpiechu, wysiadają ostrożnie, mają czas nawet targować się z doróżkarzem i żądać reszty, jeżeli nie mają drobnych. Widoczny zysk, bo nie tak się dzieje z maroderami, których cała równowaga zakłóconą jest tem więcej, im dalej czas się posuwa: stają w doróżce, wyskakują z niej gorączkowo, wręczają doróżkarzowi należytość wyjętą zawczasu z portmonetki, a w razie protestacyi tego jegomości, dają mu, co mają pod ręką, albo uciekają do przedsionka i zostawiają go niemającego czasu nawet drapać się po głowie pod naciskiem stróżów porządku publicznego, którzy nie pozwalają mu się zatrzymywać! Często się zdarza, że pokrzywdzony automedon zjawia się następnie w sali oczekiwań, upatrując swego chwilowego „pana“, z którym

niema już wtenczas najczęściej gadania, bo się spieszy jak opętany.

Najgodniejszymi politowania są ojcowie rodzin przybywający z żonami i gromadą dziatwy, obarczeni zazwyczaj kuframi i pakunkami. Cała ta paczka wysiada i udaje się do sali, a on nieszczęsny musi płacić doróżkarzowi, ekspedyować wszystkie materklasy i kupować bilety. To też przybywa już po pierwszem dzwonieniu, oczekiwany z utęsknieniem, spocony, zziajany, szczęśliwy, jeżeli nie usłyszy od jejmości bury o to, że dostaną złe miejsce. Czeka go jeszcze męka piekielna, gdy przyjdzie lokować swoje pociechy i szukać miejsca na toboły, które wszyscy dźwigają.

Nie znają tych wszystkich tarapatów uprzywilejowani podróżujący pierwszą klasą: kareta ich zajedzie wprawdzie raźnym kłusem, ale bez widocznego pośpiechu, chociażby nawet chwila była spóźniona; wysiadają i idą prosto do sali przeznaczonej dla tak dystyngowanych gości, której podwoje portyer roztwiera z uszanowaniem; nie kłopoczą się o nic: od czegoż służba, na której głowie są pakunki i kupno biletów?

W dniu, o którym mowa, podobne towarzystwo zwróciło właśnie moją uwagę. Składały je cztery osoby, dwie panie i dwóch mężczyzn, widocznie zaliczające się do arystokracyi, jeżeli nie rodowej to pieniężnej, bo to teraz coraz trudniej rozróżnić: pierwsza tak się pospolituje, szukając ratunku u drugiej, a ta znowu tak jest w tych kombinacyach pożądaną i podnoszoną, że różnice niegdyś bardzo wybitne dziś wcale nie istnieją. Te cztery osoby znałem niby, widywałem je gdzieś, ale z osobna; to połączenie zbijało mnie z tropu, a że lubię dochodzić

tego, co mnie zaciekawia, więc pociągnąłem za niemi do sali pierwszej klasy, która się przed nimi otwarła.

Gdy powiedziałem, że ich było czworo, omyliłem się, bo do towarzystwa należało piąte indywiduum, w elegancki szlafroczek ubrane — charcik, którego na jedwabnym sznurku trzymała młodsza z dwóch pań. Ta ostatnia, osoba dobrego wzrostu i niezmiernie dystyngowana, którą tylko szpecił szpiczasty nosek i niemiły wyraz oczu, była widocznie, na dziś przynajmniej, główną osobą tego grona; obejście się z nią starszej damy i podeszłego pana było nacechowane niezmierną czułością, a czwartej osobistości, młodego człowieka bardzo przystojnego i pełnego szyku, nadskakiwaniem, które tak dobrze mogło być skutkiem rzeczywistego zajęcia się młodą osobą, jak najpospolitszego udawania. Wyraz jego oblicza nic pod tym względem nie mówił, był grzecznym, uprzedzającym, pełnym drobiazgowej troskliwości i na tem koniec . . . ta troskliwość rozciągała się aż do charcika, któremu na jego polecenie portyer przyniósł z bufetu filiżankę bulionu.

Śledząc z ubocza te osoby, wkrótce wiedziałem już o nich bardzo wiele, zwłaszcza gdy przysiadł się do nich mój dobry znajomy pan Alfons z Kaliskiego, który prowadził rozmowę na cały głos. Pani w wieku była matką młodego człowieka, młoda zaś z pieskiem żoną tego ostatniego a córką starszego jegomości. Ślub ich odbył się przed paru dniami: dziś młoda para wyjeżdża za granicę, a starsi państwo odprowadzają ich. Oto, com się dowiedział.

Zaprawdę było coś rozczulającego dla najobojętniejszego spostrzegacza w widoku wzajemnego stosunku tego kółka rodzinnego. Wzrok matki pełen bezgranicznej mi-

łości nie schodził z syna i synowej. Pod wpływem tej czułości topniała konwencyonalno arystokratyczna powłoka, która na pierwszy rzut oka przedstawiała się niejako wrodzoną u tej pani.

Ta kobieta ma serce — pomyślałem sobie i z upodobaniem patrzyłem na wdzięczną zaprawdę sielankę w aksamitach.

Wkrótce dało się słyszeć dwukrotne uderzenie dzwonka. Drzwi na peron otwarto i ruszono się zabierać miejsca w pociągu. Wyprzedziwszy moje towarzystwo straciłem je na chwilę z oczu. Wkrótce siedziałem już w wagonie przy samem oknie, zwrócony przodem do maszyny, bo nie znosząc dusznej atmosfery, lubię wystawiać twarz na powiew wiatru; odebrawszy od posługacza wierzchnie okrycie, laskę i parasol i umieściwszy to wszystko na siatce ponad sobą, umieściłem się jak najwygodniej i z czystem sumieniem towarzyszącem zawsze spełnieniu tego, co do nas należało, zapaliwszy cygaro, oddałem się na nowo obserwacyom.

Moje towarzystwo skierowało się do przedziału pierwszej klasy znajdującego się tuż obok mnie. Wygalonowany lokaj wnosił do wagonu eleganckie drobiazgi, a państwo tymczasem, nie spiesząc się jak zwykli śmiertelnicy, bawili się rozmową, której koszta głównie ponosił mój znajomy p. Alfons; reszta milczała albo odpowiadała monosylabami. Stara jejmość nie spuszczała oczu z syna, jegomość z córki, a ta ostatnia z charcika, który z miną znudzoną usiadłszy na tylnych łapkach, drżał chwilami jak w febrze, co zdawało się bardzo niepokoić jego panią. Nowożeniec nie patrzył na nikogo, wzrok posyłał to tu, to owdzie, nie zatrzymując go nigdzie dłużej, żauważyłem

jako pilny obserwator, że doznawał pewnej niespokojności i że kilkakrotnie spojrzał ku dworcowi, jakby się ztamtąd czegoś obawiał. Idąc w ślad za tą wskazówką, spostrzegłem stojące pod ścianą dworca tuż koło drzwi wchodowych a wprost naszego wagonu dwie młode kobiety, których zachowanie się zwróciło z kolei moją uwagę.

Były to widocznie dwie siostry, bo podobne do siebie, tylko różniły się co do wieku o jakie kilka lat i młodsza była daleko ładniejszą. Starsza miała na twarzy mocne ślady po ospie i to ją szpeciło. Ubrane skromnie ale schludnie, wyglądały na szwaczki. Fizyognomia młodszej, nadzwyczaj sympatyczna, odbijała na sobie boleść bezgraniczną, w oczach skierowanych uporczywie w stronę, gdzie stało moje towarzystwo, błyszczały łzy, a ładnie wykrojone usteczka drgały spazmatycznie walcząc z płaczem, który biedactwo poskramiało całą siłą woli. Starsza trzymała ją za rękę i nie spuszczając z niej oczu, szeptała jej do ucha słowa, których wpływ widać działał uspokajająco, bo nieboga zdobywała się chwilami na blady uśmiech sprawiający na spostrzegaczu jeszcze przykrzejsze wrażenie, niż sam płacz.

To wszystko trwało niedługo, bo za chwilę dało się słyszeć potrójne uderzenie dzwonka i konduktor otworzył drzwi mojego wagonu, do którego wskoczył szybko pan Alfons i zaraz wsparł się w oknie przed samym moim nosem, rzuciwszy tylko krótkie „przepraszam“. Pociąg ruszył. Przez szybę, koło której byłem uplasowany, widziałem, że dawał znaki dwom nieznajomym, nawet powiedźiał parę słów, z których usłyszałem tylko ostatnie: do widzenia! Ponieważ pociąg już się oddalał, przeto wcisnąłem się gwałtem w okno obok pana Alfonsa i dojrzałem, że

młodsza z dwóch kobiet zasłaniając sobie oczy chustką, jakby płakała, wsparła głowę na ramieniu starszej, która ją spiesznie uprowadziła.

Pan Alfons dobył cygaro i zapalając je, rzekł do mnie:

„Te panie nie znoszą dymu tytuniowego; oszczędziło mi to parę rubli, bo inaczej wypadałoby mi jechać razem z nimi . . . pierwszą klasą,“

„Zyskałem przez to towarzysza podróży“ odpowiedziałem.

Uśmiechnął się wdzięcznie, poczem zaciągając się dymem cygara, zapytał z niechcenia:

„Jak się też panu podoba panna młoda?“

Zrobiłem gest dyplomatyczny, uśmiechnąwszy się w sposób dwuznaczny, co mój towarzysz mógł sobie tłumaczyć jak mu się podobało. Zrozumiał mnie jednak doskonale.

„Nie zalicza się do rzędu tych“ rzekł poufnie „których widok każe zazdrościć nowożeńcowi, nieprawdaż? Pułkownikowa zacna, święta niewiasta, czulszej matki nad nią nie znajdzie, ale przyznam się, że w kwestyi tego małżeństwa postąpiła sobie zanadto bezwzględnie.“

„Związek na podstawie konwenansu? — bez przywiązania?“ zauważyłem.

„W całem znaczeniu tego wyrazu.“

„Zwykłe i codzienne rzeczy — dla egoistycznych celów poświęca się dziecko.“

„Ależ ta kobieta nie jest egoistką!“ zawołał pan Alfons z zapałem „całe jej życie było szeregiem ofiar i poświęceń. Jako przyjaciel domu mogę zaświadczyć. Jestem kolegą szkolnym Edwarda, z którym razem przepędzałem prawie wszystkie wakacye w domu jego rodzi-

ców, miałem więc sposobność poznać stosunki. Już jako młoda panienka dowiodła serca i bezinteresowności, wychodząc za mąż z miłości i to nawet w brew woli rodziców za człowieka nie mającego ani grosza."

„No, był pułkownikiem."

„Gdzież tam! prostym podporucznikiem... dla niej wziął dymisyę."

„Zkądże więc ten tytuł?"

„Tak jakoś urobił się..."

„A sama miała majątek?"

„Bardzo znaczny."

„Który pan podporucznik przeszastał niezawodnie..."

„Owszem, powiększył. Zresztą, choćby chciał, nie miał możności. Dobra, naturalnie, były hipotekowane na panią, a i gotówki nie wypuszczała z ręki."

„Pomimo, że wyszła za niego z miłości?"

„I kochała go szalenie, cały świat wie o tem: służyła mu na klęczkach, w ręce całowała publicznie."

„A jednak trzymała w rękach."

„To po prostu przez zazdrość."

„Przeniewierzał jej się?"

„Ale gdzież tam! Kochał ją... to było co innego... Widzi pan, wszakże on żeniąc się z nią zrobił karyerę, nieprawdaż? to niema gadania... więc miała wszelkie prawo uważać to za swoje dzieło... to było jej rozkoszą.... Otóż nic ją tak nie drażniło, jak jakikolwiek dowód samodzielności ze strony męża... chciała aby jej wszystko zawdzięczał, pod tym względem była o niego niesłychanie zazdrosną."

„I czyż to nie był egoizm?"

„Nie, to było coś nerwowego."

Rozśmiałem się głośno.

„Pan ją potępiasz?“ zawołał p. Alfons „ale weźmy na uwagę, że to nie było w złej myśli .... tłómaczy ją zbytek przywiązania ..... Chociaż mogła być pewną serca męża, chciała go przywiązywać do siebie coraz więcej wdzięcznością, jaka jej się od niego należała.“

„I przypominała mu zapewne co chwila o tym obowiązku.“

„Nigdy! a jeżeli czasem stało się coś podobnego, to tylko przez zbieg okoliczności. Naprzykład, osądź pan sam: żeniąc się miał pan porucznik jakieś kawalerskie dłużki, do których przyznawać się nie widział potrzeby, mając nadzieję spłacenia ich po trochu z dochodów, to jest z swojej pracy, bo że pracował, to ani słowa ... Otóż pani dowiedziała się z boku o tych dłużkach i zrobiła mu najokropniejszą scenę.“

„A to czy było delikatnie?

„Dobrze! ale o cóż jej szło? nie o to, że miał długi, tylko że się do nich nie przyznał przy ślubie i że przez brak zaufania pozbawił ją przyjemności wyratowania go z przykrej sytuacyi ... Czyż to nie był z jej strony dowód serca?“

„Bardzo pięknie“, rzekłem „tylko trzeba było mieć jakiś wzgląd na drażliwość tego człowieka, który mógł mieć przecie ambicyę i którego prawdopodobnie upokarzała myśl pozostawania na łasce żony i w zależności od niej.“

„Ale czyż jej nie usprawiedliwiała intencya, w jakiej to zrobiła? trzeba wszystko uwzględnić. Albo jeszcze jedno zdarzenie przytoczę na dowód, jak to łatwo błaha przyczyna może sprowadzić nieporozumienie fatalne

w skutkach. Było to podczas jednych wakacyj, w żniwa: poszliśmy oba z Edwardem w pole do pułkownika, który jako gospoparz energiczny istotnie miał minę głównodowodzącego na czele armii. Właśnie założył sobie koniecznie zwieźć tego dnia resztę pszenicy z obawy deszczu, który tylko wisiał; naglił tedy „swoją artyleryę“, to jest fornali uwijających się z wozami, niby kanonierzy podczas bitwy. Tymczasem jednego z nich nie było widać; już dawno odjechał z pszenicą, a z próżnym wozem nie wracał... pułkownik klął i co chwila spoglądał ku zachodowi, zkąd nadciągała chmura... nareszcie zobaczył fornala nadjeżdżającego noga za nogą.... wyobrazisz pan sobie, jaki był zły, krzyczał, machał rękami, ale to nic nie pomagało, fornal wlókł się jak ze smołą; dopiero gdy nadjechał, patrzymy, wysiada z pomiędzy drabin pułkownikowa w słomianym kapeluszu, z rozpromienioną twarzą, trzymając w ręku podwieczorek zawinięty w serwetę... Tu scena dopiero.... Pułkownik zamiast przyjąć siurpryzę wdzięcznem sercem, powstał na żonę wyrzucając jej, co prawda w delikatny sposób, jak mogła dla podwieczorku i fantazyi przejechania się drabiniastym wozem, zatrzymywać fornalkę, która byłaby przez ten czas zwiozła parę kóp przenicy.“

„No i cóż ona na to?“

„W jednej chwili z anielsko uśmiechniętej przybrała fizyognomię lodowatą, wyprostowała się i wyrzekła z wyrazem pogardliwej wyższości: „to strata moja, nie twoja!“ potem oddawszy któremuś z nas podwieczorek, nie mówiąc ani słowa więcej, odeszła majestatycznym krokiem.“

„A to winszuję takiej żonki“, zawołałem, „niechże ją też....“

„O! kiedy pan widocznie jesteś stronniczym w zapatrywaniu się. Jakżeż! czy nie pokazał się gburem względem żony, która myślała o tem, jakby mu zrobić przyjemność. Powiem panu, że szczerze mi się jej żal zrobiło, widząc jak ją zabolał ten zawód.“

„Ani słowa, on zawinił dawszy się unieść zniecierpliwieniu, chociaż, jak pan powiedziałeś, nie przekroczył granic przyzwoitości — ale ona odpłaciła mu za to policzkiem. Jakże można było w sposób tak brutalny zranić go na punkcie dlań najdraźliwszym .... ordynarniej się znaleźć niktby nie potrafił.“

„Stało się to skutkiem obrażenia jej najdelikatniejszych uczuć, któremi w stosunku do męża kierowała się na każdym kroku.“

„Już chyba tego ostatniego sama żałowała.“

„No, to być bardzo może, nie przeczę.

„A on, jakże to przyjął?“

„Zbladł i zacisnął zęby, ale nic nie odpowiedział, tylko bez względu na nadchodzący deszcz, zostawiwszy robotę na łasce ludzi, poszedł w pole ku lasowi i niepowrócił aż późnym wieczorem, poczem się zamknął w swoim pokoju. Uważałem, że z tydzień z sobą nie mówili.“

„Ale się później pogodzili?“

„No, naturalnie.“

„Może ją nawet przeprosił?“

„To prawdopodobne.“

„Safanduła był, widać. I jakże się ich pożycie skończyło?“

„Nie wesoło: podobno zaczynał zapijać sprawę i w końcu zajmował w domu bardzo podrzędne stanowisko,

nareszcie umarł na jakieś zatłuszczenie serca, czy coś podobnego.“

„Czem naturalnie uszczęśliwił magnifikę.“

„O! cóż pan mówisz! ona zawsze go kochała, rozpaczała po jego śmierci, ileż to lat już temu, a nie zrzuciła żałoby, dopiero teraz na ślub syna.“

„Po którym może ją znowu przywdzieje, jeżeli jak pan powiadasz . . .“

„No, tego to istotnie ja nierozumiem“ zawołał p. Alfons z mocnem poruszeniem ramion „bo niema wątpliwości, że do szaleństwa kocha syna, który jest żywem przypomnieniem ojca.“

„Nie nazywajże pan tego miłością; to jest uczucie egoistyczne, czułostkowość, która każe się pieścić z przedmiotem upodobanym dlatego, że się tem sobie robi przyjemność.“

„Może masz pan i racyę, bo naprzykład . . . między innemi pod pozorem potrzeby serca, żeby mieć synalka przy sobie, nie dała mu nawet skończyć szkół i zrobiła z niego babę. Chłopiec był żywy z natury, tylko miękki jak wosk, wyrywał się naturalnie w świat, czego matka okropnie się bała, jak mi nieraz powiadała otwarcie . . . Otóż wyobraź pan sobie . . . nie chcę ją posądzać, żeby to robiła w celu przywiązania go do domu, ale . . .“

Tu pan Alfons zniżył głos i obejrzawszy się na jedynego towarzysza podróży siedzącego w przeciwległym końcu wagonu, mówił dalej poufnie:

„Było faktem, że patrzała przez szpary na to, co się działo w garderobie.“

„A cóż takiego się działo?“

„Nie trzeba panu powiadać“ rzekł z uśmiechem „notabene że względów czysto estetycznych trzymała zawsze frauencymer doborowy, kulfonów nie znosiła, bo jak mówiła, za to się drożej nie płaci... więc... uważa pan... Edwardek sobie nie żałował... Bywały wprawdzie od czasu do czasu sceny, ale to już w rażie jakiejś ostateczności... Pani ni ztąd ni zowąd odprawiła chociażby najulubieńszą z swoich faworytek, panicz przez jakiś czas chodził osowiały, ale niezadługo wszystko wracało do normalnego trybu.“

„A propos“ rzekłem „czy nie chciałbyś mnie pan objaśnić, jaki związek zachodzi pomiędzy osobami, o których mowa, a młodą dziewczyną, do której się pan odezwałeś w chwili gdy pociąg ruszył.“

„A! to masz pan przedmiot do dramatu“ zawołał z wielkiem ożywieniem „więc pan to uważałeś?“ dodał klepiąc mnie po kolanie „jak to zaraz znać literata! wszędzie szuka wzorków.... Widziałeś pan obie?“

„Widziałem... zapewne są to siostry...“

„Tak jest... Czy pan uwierzysz, że to są kuzynki pułkownikowej?“

„Nie może być!“

„Wprawdzie dalekie, ale zawsze jest pewne pokrewieństwo. Starsza, ta dziobata, jest zamężną, wyszła za jakiegoś małego urzędniczynę przy kolei, konduktora czy coś, i oprócz tego trudni się szyciem, młodsza... dobry numer, nieprawdaż?... bawiła przez jakiś czas w domu matki Edwarda.“

„Ah!“

„O! tylko nie myśl pan sobie o niej coś złego...

to bardzo przyzwoita dziewczyna, a do tego dobre, poczciwe, anioł w ludzkiem ciele! . . . daję słowo . . .“

„No, a tenże dramat?“ zapytałem zaciekawiony.

„A, to cała historya“ rzekł pan Alfons „widzi pan, przed paru laty umarła im matka; starsza siostra miała już męża, ale Zosi, bo jej Zosia na imię, dało się czuć to sieroctwo. Matka miała jakieś małe dożywocie, z którego żyły i które naturalnie z jej śmiercią ustało, i biedna dziewczyna została prawie bez przytułku, bo siostrze, która dopiero co wyszła za mąż, bardzo trudno było wziąść ją do siebie. Otóż wtenczas pułkownikowa w przystępie jakiegoś wspaniałomyślnego porywu, a prędzej pod naciskiem okoliczności, wzięła ją do siebie.“

„Jakież to były okoliczności?“

„Panienka osierociawszy dostała opiekuna, który był wspólnym krewnym jej i matki Edwarda; był to stary kawaler, urzędnik dosyć wysoko położony z Warszawy, który niechętnie podobno przyjmował ten ciężar, ale raz go przyjąwszy wziął swoją misyę do serca. On to swoim wpływem i staraniami, którym dał umyślnie wielki rozgłos, tak jakoś potrafił obmotać i zobowiązać pułkownikowę, że dla samej opinii bardzo tą sprawą zainteresowanej musiała wziąść do swojego domu daleką krewnę.“

„Hm! teraz cały ów dramat stoi mi jasno przed oczyma.“

„Naprzykład cóż pan myślisz?“

„Zapewne pani pułkownikowa dopełniwszy z musu dzieła filantropii, dawała jej uczuć swoją niechęć — gorzki to, ale zwykły chleb sieroty zostającej na cudzej łasce.“

„E, toby była rzecz najmniejsza“, rzekł p. Alfons.

Zamilkł na chwilę, zapalając nowe cygaro. Dopełniwszy tej czynności i wypuściwszy parę kłębów dymu, mówił dalej:

„Zdaje się, że pan radzca stanu, ów opiekun, miał pewną myśl umieszczając dziewczynę u swojej kuzynki: po prostu chciał jej zapewnić los bez przyczynienia się z swojej strony.“

„Rachował na pana Edwarda?“

„Oczywiście... łatwo można było przewidzieć, że młodzieniec zajmie się nią... ale taż sama myśl przyszła do głowy matce, chociaż podobno po niewczasie i przeraziła ją.“

„Czy stan interesów był taki, że wymagał ofiary ze strony syna?“

„Broń Boże! stali bardzo świetnie.“

„Więc cóż było przerażającego w tem przypuszczeniu, że syn zająwszy się kuzynką, chociażby nawet ubogą, zechce pojąć ją za żonę?“

„Panie łaskawy“ rzekł pan Alfons „tak się to rozumuje, gdy patrzymy na co z boku, nie wchodząc w głąb rzeczy...“

„Wszakże pan wyraziłeś się o tej panience z pochwałami...“

„No tak, to prawda... ale widzi pan... position oblige... robi się też coś i dla świata.“

Zamilkłem, nie mając co na to odpowiedzieć.

„Wkrótce po zainstalowaniu Zosi“ mówił pan Alfons po chwilowej przerwie „jakaś dziwna atmosfera zapanowała w tym domu; trudno było określić co, ale coś było w powietrzu, w stosunkach dał się czuć

wówczas często, spotykałem kiedy niekiedy pana radzcę stanu, przy którym pułkownikowa okazywała dziewczynie czułość macierzyńską. Patrzałem na to wszystko, jak się patrzy na rozgrywaną w teatrze tragedyę, której rozwiązania czeka się z biciem serca. Edward na oko trzymał się od Zosi daleko, ale wiedziałem, co o tem sądzić, bo mi się zwierzał . . . rozkochał się w niej szalenie i ona w nim. Z dotychczasowych swoich awanturek miłosnych nie robił nigdy sekretu, pozwalając sobie względem ofiar przemijającego kaprysu, nieraz nawet w obecności matki, aluzyj . . . nieco wolnych . . . Teraz z obawy przed nią zmienił się zupełnie, stawszy się skrytym i przebiegłym, ale to nie złudziło pułkownikowej, — byłem przekonany, że widzi jasno, co się dzieje. Biedna kobieta! jak wielkim musiał być jej niepokój, kiedy nie wahała się uciekać do hazardowanych środków, jak n. p. ni ztąd ni zowąd w obecności osób obcych, a szczególniej radzcy zaczęła nas oboje prześladować wzajemną skłonnością, bez żadnego powodu z naszej strony, daję panu słowo, wprowadząc mnie tylko w ambaras i kłócąc z Edwardem, którego nieraz zaledwie mogłem uspokoić. Nawet jeszcze dalej się posunęła . . . no ale to już było w zaufaniu. Wystaw pan sobie, razu jednego przybywszy do nich, nie zastałem Edwarda, który pojechał w sąsiedztwo, właśnie jak się dowiedziałem do ojca teraźniejszej swojej żony.“

„Ale, ale“ przerwałem „któż jest ten jegomość?“

„Zbogacony przemysłowiec, milioner; właśnie przed paru laty kupił znaczny majątek w sąsiedztwie pułkownikowej, i jego córka, która chociaż, jak pan mogłeś zauważać, nie grzeszy urodą, uchodziła za najświetniejszą przymus zasłaniający się sztuczną swobodą. Bywając tam

partyę w okolicy. Marzeniem matki było ożenić z nią Edwarda. Otóż, jak powiedziałem, nie zastałem go, ale ponieważ byłem tam jakby domowym, zwykle w takich razach nie było pomiędzy nami żadnej ceremonii; albo wracałem do domu, albo też jeżeli mi powiedziano, że niezadługo ma wrócić, czekałem nań robiąc tymczasem, co mi się podobało. Od pułkownikowej nie wymagałem bynajmniej, aby mi czyniła honory domu, ani też ona poczuwała się do tego obowiązku. Tą razą przecież kazała mnie prosić do salonu, gdzie niedługo czekałem na nią. Wkrótce weszła i podając mi rękę z wielką uprzejmością prosiła siedzieć; domyśliłem się zaraz, że to zakrój na jakąś poufną rozmowę . . .“

„Cóż to było?“ zapytałem, gdy pan Alfons przerwał sobie na chwilę, osadzając niedopalone cygaro w cygarniczce.

„Nie omyliłem się“ — mówił dalej. „Po krótkim wstępie, w którym dziękowała mi za przyjaźń, jaką okazywałem jej synowi, wynurzyła nadzieję, że pokaże się w skutkach, czem jest ta przyjaźń, która nie pozostanie zapewne czczą formą. Na moje zapewnienie, że się nie myli, wyspowiadała mi się otwarcie z swoich trosk macierzyńskich, wystawiając boleść, jaką jej sprawia niewdzięczność dziewczyny, która za udzielenie jej przytułku i opieki bałamuci jej syna, co prawdę mówiąc, było już naciągniętem . . . ale co tu się dziwić matce! . . . . Nareszcie wtajemniczyła mnie w widoki ożenienia Edwarda i zaklęła na zażyłość z nim, na wszystkie najświętsze obowiązki, abym jako przyjaciel, dla jego szczęścia, dla honoru i przyszłości rodziny et caetera, postarał się jakim-

bądź sposobem wyrugować z jego serca tę dziewczynę, chociażby przyszło .... zbałamucić ją, uwieść!“

„Co pan mówisz! to być nie może...“

„No, naturalnie nie powiedziała wyraźnie, tylko pod przenośniami, ale oczywiście tego chciała... bo wszakże nie mogła mi proponować ożenienia.“

„Któż wie, czy nie miała tej myśli?“ rzekłem dobrodusznie.

Pan Alfons spojrzał na mnie i zaczął się śmiać, jakby z czego najzabawniejszego.

„Przecie tyle taktu posiada“ rzekł uśmiechnąwszy się „żeby mi nie śmiała robić podobnej propozycyi. Wiedziała, do kogo mówi.“

Teraz ja z kolei spojrzałem na niego; myślałem, że żartuje, ale widocznie mówił w dobrej wierze i był w najzupełniejszym porządku z sumieniem.

„Zresztą, kiedy już tak“ dodał „to powiem bez zobwijania w bawełnę, że nie można było mieć najmniejszej wątpliwości co do znaczenia jej słów... były aż nadto wyraźne.“

Oczywiście, p. Alfons był bardzo dotknięty mojem przypuszczeniem i koniecznie starał się przekonać mnie, że pułkownikowa wiedziała, do kogo mówi. Osiągnął ten skutek w zupełności: odmalował swoją płytkość i jej niegodziwość doskonale. Byłem oburzony, szczególniej na babę, która w celu egoistycznym nie wahała się narazić na szwank czci biednej dziewczyny.

Ciekawy, co dalej nastąpiło, zapytałem:

„I jakżeż pan odpowiedział na te insynuacye?“

„Naturalnie udałem, że ich nierozumiem, pojmujesz pan, że ze względu na przyjaźń z Edwardem .... cho-

ciaż to było wbrew przekonaniu matki, nie mogłem postąpić inaczej.“

„Zdaje mi się, że gdyby nie ta okoliczność, nie robiłoby się skrupułów żadnych, nieprawdaż?“ rzekłem niby żartobliwie.

„Przyznasz pan, że rola anioła pocieszyciela w obec takiej dziewczyny dla każdego byłaby ponętną“ rzekł z uśmiechem świadczącym, że jego wyobrażenia o moralności spoczywały na bardzo kruchej podstawie.

„Podobno co do tej roli, nie dałeś pan dotychczas za wygraną“ rzekłem, patrząc mu w oczy.

„Z czego pan to wnosisz?“ zapytał z wyrazem zadowolenia.

„Jestem obserwatorem i fizyognomistą.“

Wyraźnie mu to pochlebiło. Jego oblicze zapromieniało jakąś dumą i pewnością siebie, jak gdyby miał do pochwalenia się z najwznioślejszym czynem.

„Widzi pan“ rzekł po chwili „teraz już co innego: ożenił się, nie jest wolnym. Robię to w interesie moralności.“

Trudno wyobrazić sobie wyraz dobrodusznego cynizmu, jaki towarzyszył tym słowom. I ten człowiek — pomyślałem sobie — rezonuje o moralności, honorze i obowiązkach przyjaźni!

Byłem jednak ciekawy dalszego ciągu, więc zapytałem:

„No, ale jakże się ta historya skończyła?“

„Sensacyjnym epilogiem, jak w jakim romansie albo dramacie. Wystaw pan sobie, był u nich w obowiązku pisarza prowentowego człowieczyna, młody chłopak, niejaki Miłoski, prezentujący się jak na swoją sferę dosyć

pokaźnie i wielki faworyt samej pani.... otóż ten najniespodziewaniej odegrał główną rolę w końcowej katastrofie. Nie dałbym trzech groszy, czy nie wskutek jakiejś zachęty ze strony pułkownikowej, ni ztąd ni zowąd z wielkiem naszem zdziwieniem zaczął zawracać oczy do Zosi. Z początku to było tak pocieszne, że nieraz śmialiśmy się z niego wraz z Edwardem, który prześladował ją tym adoratorem; ale wkrótce rzeczy przybrały inną postać... pan Miłoski udając szalenie zakochanego postępował tak, jakby postawił sobie za zadanie kompromitować dziewczynę, każdy krok jego był obmyślony w tym kierunku.... zapytywany, wykręcał się półsłówkami, które pozwalały domyślać się Bóg wie czego. Edwarda zaczęło to nareszcie niepokoić, robił gwałtowne wymówki Zosi, która odpowiadała mu tylko łzami, z nim samym nie śmiał wszczynać scen z obawy przed matką, która patrzała na to wszystko jakoś chłodno, Zosię tylko zacząwszy traktować z coraz większą surowością, a nawet już całkiem pogardliwie. Nareszcie...“

W tem miejscu opowiadania dał się słyszeć świst lokomotywy, zwiastujący zbliżanie się do stacyi, na której miał wysiąść p. Alfons. Podniósł się natychmiast, ale ja w obawie utracenia końca historyi schwyciłem go za palto i posadziłem napowrót, zapytawszy:

„Cóż się stało?“

„No, nic“ rzekł usiłując powstać „złapaliśmy ich na gorącym uczynku.“

„Jakto?“ zawołałem porywczo.

„Bardzo prostym sposobem... byliśmy w ogrodzie we czworo, to jest my obydwaj z pułkownikową i radzcą, który właśnie przyjechał.... szliśmy do altany na pod-

wieczorek, który z obowiązku przysposabiała Zosia, czekając już tam na nas . . .“

W tej chwili pociąg stanął i konduktor otworzył drzwi, zapowiadając pięć minut przestanku.

Nie puszczałem p. Alfonsa.

„Gdyśmy dochodzili do altany“ kończył z pośpiechem, stojąc we drzwiach „zobaczyliśmy obok Zosi Miłoskiego, który w tej chwili, jakby nie widział naszej obecności, pochwycił ją w objęcia i korzystając z osłupienia, w jakie ją wprowadził tym napadem, usiłował pocałować.“

„Więc pan utrzymujesz, że to był napad?“

„Jestem przekonany, ale Edward temu nie wierzył... cóż pan chcesz, matka tyle mu napsuła głowy panną Sydonią .... No, moje uszanowanie“ kończył, podając mi rękę na pożegnanie.

„I cóż nastąpiło?“ pytałem ściskając ją.

„Pułkownikowa chciała, niby dla naprawienia szkandalu wydać dziewczynę za Miłoskiego, ale gdy ta ani dała sobie mówić o tem, odesłała ją do siostry.“

„A radzca stanu?“

„Radzca stanu był bardzo kontent, że miał pretekst do zwinięcia chorągiewki . . .“

„Przelawszy prawa opiekuna na pana?“ zapytałem ironicznie.

Rozśmiał się głośno.

„No, padam do nóg“ rzekł „bo muszę jeszcze pożegnać się z niemi. . . polecam się łaskawej pamięci.“

„Nawzajem“ rzekłem przez okno drzwi, które właśnie konduktor zatrzasnął „i życzę sukcesów . . . ale takich, żeby się było z czem pochwalić przed ludźmi.“

„Ślicznie dziękuję“ odrzekł zrozumiawszy po swojemu ten dwuznacznik, a ukłoniwszy mi się jeszcze rękami od ust, pobiegł do wagonu pułkownikowej.

Wkrótce pociąg ruszył, a ja zadumałem się nad tem co usłyszałem . . .

Biedne dziecko! padłaś ofiarą bezlitośnego prawa, uznawanego szczęściem dla ludzkości jedynie tylko przez natury egoistyczne i zwierzęce, na mocy którego jednostki uprzywilejowane nie znoszą na swojej drodze upośledzonych i niweczą je. Niegodziwa kobieta poświęciła cię bez skrupułu dla swojego pokoju — ale czy okupiła go sobie tym sposobem? Gdyby tak było, przyszłoby zwątpić o sprawiedliwości przedwiecznej, która swoje wyroki feruje z nieubłaganą konsekwencyą i zapisuje je w sercach winowajców.

Że ten wyrok już zapisany w sercu pułkownikowej, było jasnem dla każdego, kto umie czytać przez maskę, jaką w takich razach osądzeni nakładają sobie na oblicze dla oszukania opinii.

Te dwie postacie, których usłyszałem pobieżną historyę — ofiary i kata, nie zejdą mi z przed oczu póki żyć będę, chociaż widziałem je tylko ten raz jeden . . . .

Gdybym pisał powieść zamiast opowiadania prawdziwego zdarzenia, mógłbym dorobić zakończenie, dające pole najbujniejszej fantazyi. Ale pod względem sensu moralnego ów epilog nie powiedziałby nic więcej. Bo czy biedna sierota upadła zwyciężona zabiegami p. Alfonsa lub kogoś jemu podobnego, czy też walczy, dźwigając z godnością to brzemię, które jej przypadło w udziale, w każdym razie jest nieszczęśliwą, jest ofiarą.

Chybabym wymyślił zwrot taki, że pułkownikowa uniesiona żalem i zgryzotemi sumienia, usiłowała wynagrodzić Zosi krzywdę jej wyrządzoną, n. p. żeniąc z nią Edwarda, którego rozwiodła z niekochaną i niekochającą żoną, ale czyżby się znalazł ktoś tak naiwny, coby uwierzył w żal baby egoistki?

Tragikomedye małżeńskie.

I.

Nieszczęście!

Nie małą sensacyę wśród mieszkańców topolińskiego dworu zrobił list dziedziczki, pani Adamowej, napisany do męża z Ostendy.

Kiedy lokaj Marcin powróciwszy z poczty zsiadł z konia, znalazła się natychmiast oczekująca nań niecierpliwie panna służąca Kasia, mówiąc nawiasem bardzo przystojna i ubrana starannie a nawet z pewną kokieteryą dziewczyna, która przystąpiwszy do Marcina zapytała go z jakąś gorączkową ciekawością:

„A co? jest list?“

Marcin spojrzał na nią z ukosa, i mruknąwszy tylko: „jest, jest“, poszedł z torbą pocztową prosto do pana. Kasia udała się za nim . . .

Pan Adam, mężczyzna blizko czterdziestoletni, ale wydający się o dziesięć lat młodszym, pisał właśnie list... Zobaczywszy Marcina wstał spiesznie, otworzył torbę i wyrzuciwszy z niej gazety, pochwycił najprzód list od pani, który zaraz zaczął czytać. W miarę jak czytał, chmu-

rzyło się jego oblicze, na czole zarysowały się zmarszczki, nareszcie zmiął list z wyrazem zniecierpliwienia i rzucił go z niechęcią na biurko.

Marcin i Kasia nie spuszczali z pana oczu, a gdy skończył czytanie i zachowując milczenie zaczął chodzić po pokoju, ta ostatnia odważyła się zapytać najwdzięczniejszym, na jaki zdobyć się mogła głosikiem:

„A co, proszę pana?“

Pan Adam nie odpowiedział zaraz; dopiero przemierzywszy pokój parę razy wzdłuż i wszerz, rzekł z chmurą na czole:

„Pani pisze, że zabawi jeszcze w Ostendzie dwa tygodnie.“

„Dwa tygodnie jeszcze!“ zawołała Kasia głosem takim, jak gdyby ta wiadomość była ziszczeniem jej najgorętszych życzeń.

„Jeszcze dwa tygodnie!“ zawołał Marcin zgrzytnąwszy zębami i tonem bohatera z melodramy prześladowanego przez zawistne losy.

To niezadowolenie Marcina było najzupełniej usprawiedliwione. Trzeba wiedzieć, że jak to zwykle bywa w stosunkach jakie tu zachodziły, znał się on już od roku z Kasią i był z nią prawie jak po słowie .... Czuł się dotychczas najszczęśliwszym. Sam był faworytem pana; ona była ulubienicą i prawą ręką pani; mógł więc śmiało rachować na ich pomoc, gdy przyjdzie przenieść się na swoje gospodarstwo. Uśmiechała mu się szczególniej, jako zamiłowanemu w myśliwstwie, wakująca właśnie posada leśniczego w lasach pańskich; śnił o zacisznym i ciepłym domku otoczonym wieńcem brzóz, dębów i sosien, w którym widział się już usadowionym z swoją Kasią.

Co do osobistych zalet jego przyszłej, to był tego przekonania, że trafił na prawdziwą perłę. Była to bowiem dziewczyna nietylko ładna, szykowna i zręczna do każdej roboty, ale co rzecz rzadsza, nie dająca najmniejszego powodu do zazdrości, do której wybuchów Marcin był nader skłonnym. Prawda i to, że ani we dworze, ani na wsi nie było mężczyzny, któryby mógł wzbudzać w nim obawy. Kucharz był stary i miał żonę oraz kilkoro dorosłych już dzieci; stangreta nawiedził pan Bóg żoną, która chociaż sama pozwalała sobie wiele, męża trzymała tak krótko, że nie ośmieliłby się za nic w świecie spojrzeć na inną kobietę; ogrodnik był wprawdzie kawalerem, ale już przeszło pięćdziesięcioletnim, a do tego tak zakochanym w swoim fachu, że poza kwiatami i owocami swojego ogrodu, nikogo i nic nie wiedział. Niebezpiecznym dla Kasi a tem samem i dla Marcina mógł być chyba sam pan, gdyby mu kiedy ni ztąd ni zowąd przyszła fantazya zagiąć parol na dziewczynę; każdy wie, że gdy strona atakowana pozostaje w zależności od atakującej, trudno wierzyć w skuteczność oporu — ale o takiem niebezpieczeństwie Marcin nawet ani pomyślał, a gdyby mu był kto podobną myśl podsunął, wzruszyłby na to ramionami z politowaniem. Jego pan! alboż nie znają go ludzie na dziesięć mil w koło? Czyżby kto mógł posądzić go o coś podobnego? Nie mówi się już o tem, że jest od niedawna żonatym i swoją żonę kocha zapamiętale, ale nawet kiedy był jeszcze kawalerem, uchodził za największego na całą okolicę moralistę i pod tym względem mógł zawstydzić nietylko wielu młodych żonkosiów, ale nawet niejednego z starszych, którzy byli już ojcami dorosłych dzieci . . . .

Więc z tej strony był najspokojniejszym.

Dopiero coś od kilku tygodni, to jest od czasu jak pani pojechała do Ostendy, Marcin zaczął dostrzegać chmury grożące zaciemnieniem horyzontu jego wymarzonego szczęścia małżeńskiego. Kasia, która wobec pani odznaczała się w swoich stosunkach z panem purytańską skromnością, a to do tego stopnia, że przemawiając doń spuszczała zazwyczaj oczy, potrochu zmieniła tryb postępowania. Spotkał ją naprzykład raz i drugi w gabinecie pana, do którego weszła w godzinie niezwykłej pod pozorem zapytania, czy czego nie potrzebuje. Alboż to do niej należało? Od tego jest on, Marcin, i ta troskliwość była zupełnie zbyteczną, bo on pilnuje swoich obowiązków jak mało który inny lokaj.

Pan wprawdzie odpowiedział jej obojętnie, że nic mu nie potrzeba, ale ta okoliczność wzbudziła w Marcinie pewne podejrzenia.

Drugi raz znowu był świadkiem, jak pytała się pana, czy smakował mu obiad, który ugotowała sama, z powodu chwilowej nieobecności kucharza. Starała mu się dogodzić — to bardzo dobrze.... Ależ nie było czego przymilać się i chwalić tem, co było jej prostym obowiązkiem.

Najgorzej, że pan pogłaskał ją wtenczas po twarzy i powiedział: „jesteś dobra dziewczyna."

Kasia tego dnia nie chciała wcale gadać z Marcinem....

Nie wiedzieć jak wreszcie doszło do tego, że ten nie miał prawie co robić, wszystkie bowiem funkcye przy panu spełniała ona, wyjąwszy naturalnie zbyt poufałych, mogących urazić skromność panieńską. Co najsmutniejsza,

pan zaczął coraz więcej przywykać do jej usług. Odezwał się nawet parę razy, niby to pół-żartem, ale kto wie, czy nie myślał naprawdę, że „nie ma jak kobieca usługa . . .“

Groźne symptomaty mnożyły się w sposób zatrważający; przyszło do niebywałych poufałości, bez ceremonii wchodziła do sypialni wówczas, gdy pan leżał w łóżku, czego w początkach, po wyjeździe pani wcale sobie nie pozwalała. Rano przynosiła kawę, którą sama mu nalewała. Raz nawet Marcin widział, odnosząc właśnie suknie, że klęcząc przy łóżku trzymała przed panem tackę ze szklanką tak długo, póki nie wypił, niby pod pozorem, żeby mu oszczędzić sięgania do stoliczka, ale tymczasem, przysiągłby, zjadała go oczyma . . . . Na szczęście, i ku wielkiej uciesze Marcina, pan, chociaż pogłaskał ją jak poprzednio, to jednak na drugi raz już nie pozwolił na takie konfidencye, utrzymując, że mu to robiło jeszcze więcej subjekcyi.

Odeszła jak zmyta, tak się przynajmniej Marcinowi zdawało. A jednak znowu na wieczór przyszła, niosąc szklankę wody z cukrem, którą postawiła na stoliczku przy łóżku, bo jak mówiła, pan dziś przez cały dzień kaszlał, czego Marcin jako żywo wcale nie słyszał! Pan uszczypnął ją w policzek mówiąc „jak to ty o mnie pamiętasz!“ i spojrzał na nią tak jakoś szczególnie, że Marcina aż dreszcze przeszły, i nie wyszedł z pokoju, aż dopóki i ona nie odeszła . . . .

Co on wycierpiał! Spać nie mógł tej nocy. Nadstawiał uszu na najmniejszy szelest, wstawał kilka razy, obchodząc pokoje dla przekonania się niby, czy które okno

lub drzwi nie zostały na noc odemknięte, bo jak na złość duży wiatr był tej nocy i ciągle coś stukało.

Być może, że obawy Marcina były tylko wytworem podrażnionej imaginacyi, ale to było faktem, że w miarę poufalszego zbliżania się do pana Kasia stawała się coraz większą kokietką, coraz dbalszą o swoje wdzięki. Co dawniej myjąc ręce kontentowała się prostem mydłem, to teraz kupiła sobie mydełko pachnące i słoiczek pomady w aptece; a właściwie to on, Marcin, sam jej kupił. Raz gdy jechał po coś do miasta, dała mu na to pieniądze, przyczem spojrzała nań, robiąc bardzo słodkie oczy, co od pewnego czasu było osobliwością; więc oczarowany tym powrotem, jak mu się zdawało, łask, zrobił jej od siebie prezent z tego, co mieć sobie życzyła. Nie mógł sobie potem tego darować przekonawszy się, że to mydełko i ta pomada wymyślone były na jego utrapienie.... Zapuściła także grzywkę nad czołem, które miała trochę za duże i za wypukłe. Było jej z tą zmianą niezmiernie ładnie. Marcin patrząc na nią byłby ją zjadł.... ale ze złości; bo był świadkiem, jak pan dostrzegłszy to samo, pochwalił, mówiąc, że z tą grzywka jest jej bardzo do twarzy. Ale ciekawe rzeczy, co też powie na to pani, która grzywek nie cierpi....

W takim stanie rzeczy nic dziwnego, że Marcin prosił pana Boga, żeby składał dwa dni na jeden i dał mu jak najprędzej doczekać powrotu pani, przy której to wszystko, czego się obawiał, stawało się niewykonalnem. Modlił się o to codzień, a dla skrócenia sobie chwil oczekiwania, zrobił kredą na drzwiach kredensu tyle krysek, ile dni prawdopodobnie pani miała jeszcze zabawić w podróży, i codzień jednę zmazywał.... Ponieważ wy-

jechała na sześć tygodni, więc łatwo można było wyrachować.

Pożądany termin zbliżał się, brakowało doń już tylko kilka dni, gdy jak piorun z jasnego nieba, spadła niespodziana wiadomość, którą sam przywiózł z poczty, że pani nie powróci wcześniej, jak za dwa tygodnie.

Dwa tygodnie!

Czternaście dni jeszcze odganiać złe, pilnować, czuwać, zatruwać sobie każdą chwilę, i to jeszcze Bóg wie z jakim skutkiem!? Wiadomo, że kobieta nie przebiera w środkach, gdy sobie postawi podobne zadanie, jak zbałamucenie mężczyzny. Pan uchodził za męża wzorowego, ale co to jest pokusa i jakiej trzeba determinacyi, żeby się jej obronić skutecznie, Marcin wiedział dobrze z własnego doświadczenia.

Kasia za to tryumfowała w duchu. Co tu bowiem obwijać w bawełnę; ta płocha dziewczyna uroiła sobie nie na żarty, że pan spogląda na nią znaczącym wzrokiem, i że powściągliwość, jaką zachowuje powierzchownie, była tylko skutkiem pewnych skrupułów. Otóż zwalczyć te skrupuły stało się dla niej zadaniem, które uwzięła się przywieść do skutku; znajdowała się, jak mniemała, na najlepszej drodze i odniesienie ostatecznego tryumfu było już tylko kwestyą czasu. Z wielkiem przeto zadowoleniem usłyszała wiadomość, że pozostają jej na to dwa tygodnie. Uznawała ten termin aż nadto wystarczającym i postanowiła sobie z niego skorzystać. Co ją do tego popychało, mniejsza o to: czy to niewyraźny jakiś głos serca, czy też tylko temperament, albo wreszcie zimne wyrachowanie, wszystko jedno, dość, że poprzysięgła sobie przypuścić bezzwłocznie szturm stanowczy . . . .

Ale jakiem było istotne usposobienie pana Adama?... Pan Adam był wprawdzie z natury sensatem, a z zasady wzorowym małżonkiem, co przychodziło mu tem łatwiej, że był rozkochanym w swojej żonie... Ale nie miał w sobie materyału na Katona, był tylko zwyczajnym człowiekiem, mającym krew i nerwy... Tęsknił za swoją żonusią coraz bardziej, ale tęsknota z każdym dniem, szczególniej ku końcowi przymusowego rozdziału, przybierała coraz więcej cech zniecierpliwienia, wypływającego z pobudek wcale nie idealnej natury.... Rachował dni brakujące do powrotu żony tak samo jak Marcin, chociaż z innego powodu. Rzecz więc bardzo naturalna, że list jej zirytował go mocno.

„Jeszcze dwa tygodnie oczekiwania, gdy w tych dniach miałem ją już uścisnąć... Nadużywa mojej cierpliwości... i jaki powód?... zabawa?... Czyż nie wie, nie odczuwa tego, z jakiem utęsknieniem wyglądam jej?... O! moja pani, igrasz z ogniem; gdybym cię tak nie kochał, a jeszcze więcej, gdybym nie miał zasad, kto wie, do jakiegoby mogło przyjść nieszczęścia..."

Tak mówił do siebie pan Adam, odczytując list żony, a chociaż wspomniał o zasadach, a przeniewierstwo małżeńskie nazwał nieszczęściem, nic a nic nie przeszkodziło, że po schowaniu listu do szuflady biurka, w chwili zadumy, stanęła mu na myśli powabna postać Kasi i jej obiecujące spojrzenia, działające nań od pewnego czasu tak jakoś narkotycznie, że nie mógł im się nareszcie opędzić, gdy z początku udawało mu się to niezgorzej.

Z tego możemy śmiało wnosić, że dziewczyna za pomocą swojej samorodnej strategii przygotowała grunt tak

dobrze, iż nie potrzebowała nawet całych owych dwóch tygodni dla zapewnienia sobie ostatecznego zwycięstwa.

Dwa dni następujące bezpośrednio po nadejściu fatalnego listu zapisały się niezatartemi głoskami w pamięci Marcina... Co on w ciągu nich wycierpiał! Pierwszego dnia zaraz pan posłał go po coś do miasteczka; nie było w tem nic osobliwego, bo misye tego rodzaju spełniał niejednokrotnie; tym razem przecież, jakby go co ukłuło, przyjął rozkaz bardzo niemile. Nie mogąc się wywinąć od jego wykonania żadną wymówką, pojechał, ale wrócił tak prędko, że gdyby nie pokazany dowód załatwienia zlecenia, pan nie byłby mu nigdy uwierzył, że był na miejscu!

Drugiego dnia, właśnie gdy miał wejść do pokoju pańskiego, idąc jak zwykle na palcach, bo nabrał już tego nałogu, usłyszał jakieś podejrzane szepty, a nawet (być może, że mu się to zdawało) jakby odgłosy pocałunków. Kocim skokiem znalazł się jednej chwili przy drzwiach, a przylepiwszy oko do dziurki od klucza, zdawało mu się, iż widział pana na fotelu i obok stojącą z tkliwym uśmiechem Kasię... Biedny Marcin, nie mogąc znieść tego widoku, odskoczył parę kroków w tył, poczem porwał go taki kaszel, jak gdyby duszę miał wykaszlać. Po pewnej chwili dopiero wszedł do pokoju, gdzie znalazł wszystko we wzorowym porządku: obraz widziany przez dziurkę od klucza zniknął, a ten, który się przedstawił jego oczom, był zupełnie do tamtego niepodobny... Pan siedział w tym samym fotelu, ale pochylony nad biurkiem pisał coś zawzięcie. Kasia stała o kilka kroków od niego z kluczykami w ręku. Twarz jej była na pozór spokojna, ale spojrzenie, jakie rzuciła

na wchodzącego Marcina było tak ironiczne, tak drwiące, a przytem nacechowane taką pewnością siebie, że nieborakowi przeszła myśl przez głowę, czy całe to jego pilnowanie nie jest próżną robotą?

Tak przeszły dwa dni, aż nareszcie trzeciego wybuchła bomba, ale w sposób przez nikogo nie przewidywany. Właśnie pan siedział w tym samym fotelu co dnia poprzedniego, bardzo zadumany; na obliczu jego malowała się walka, a oblicze to nie kłamało, bo istotnie toczył walkę sam z sobą. Zmuszony słuchać zarzutów, stawianych przez serce bijące przywiązaniem do żony, bronił się sofizmatami wynajdywanemi przez wzburzoną krew i podnieconą wrażliwość temperamentu. Oskarżywszy się wręcz o przeniewierstwo, jakkolwiek dowodził, że koniec końców nie zawinił dotychczas tak dalece, musiał jednak przyznać w pokorze ducha, że nie był zupełnie bez winy; pozwalał sobie trochę zanadto, mógł swojem postępowaniem nieoględnem wzbudzić w tej dziewczynie pragnienia, którym nie godziło mu się zadosyć uczynić, On to uważał za chwilową, przemijającą zabawkę — ale kto wie, jak ona się na to zapatruje? Mogło przyjść do następstw smutnych, które później musiałby nosić na sumieniu. Fe! tak się nie godzi . . . .

„Ależ to właśnie stanowi ową pieprzną przyprawę, której nieraz potrzebuje zbyt monotonne i mdłe szczęście małżeńskie“, szeptała wzburzona krew, „zresztą, cóż znowu tak wielkiego! nie ma żadnej racyi robić z komara wołu.“

„Pomyśl jednak“, dorzuciła ambicya, „czy jest godnem człowieka twojego stanowiska, wchodzić w występny stosunek z jejmościanką, która z pewnością kroi na twoją

kieszeń i chciałaby cię trzymać na pasku pod groźbą wyjawienia wszystkiego żonie; czy myślisz, że mizdrzy się do ciebie dla twoich pięknych oczu?“

Na to oburzyła się bardzo miłość własna, ale nie miała czasu wypowiedzieć tego, co myślała, bo w tej chwili wbiegła do pokoju zmięszana czegoś ta właśnie, o którą toczyła się owa milcząca dysputa.

„Proszę pana, n i e s z c z ę ś c i e!“ zawołała zaraz z progu.

„Co się stało?“ zapytał pan, zrywając się.

„Pani przyjechała z Ostendy!“

Pan Adam na te słowa, mające dlań znaczenie bluźnierstwa, plwającego na to, co on otaczał czcią, wyprostował się groźnie z olimpijskiem zmarszczeniem brwi .... Oprzytomniał nagle .... Cała sytuacya stanęła mu jasno przed oczyma .... Jakto! ta bezwstydna kokietka wyzyskując jego chwilową słabostkę, była przekonaną że zdoła zastąpić w sercu pana ukochaną, z utęsknieniem wyglądaną żonę ... i posuwa zuchwalstwo do tego stopnia, że jej niespodziany powrót ośmiela się nazywać ich wspólnem nieszczęściem! Teraz dopiero widzi, w jaką gotów był zabrnąć kałużę. Wstyd mu samego siebie ....

Pod nawałem tych myśli, zdobył się tylko na wykrzyknik:

„I ty to nazywasz nieszczęściem?..... głupia!“ i wybiegł na przyjęcie żony.

„Głupia!“ powtórzył jak echo Marcin, który przed chwilą wpadł był uradowany z tą samą wieścią, i wybiegł za panem.

Kasia zaczerwieniła się jak piwonia, widząc, jak

grubo się przerachowała, „Ach! ci mężczyzni“, pomyślała sobie, „wierzże tu któremu!“

Ale trudna rada. Nie można tracić głowy . . . trzeba nadrobić miną, żeby ludziom nie dać powodu do śmiechu. Więc jak gdyby nigdy nic, wybiegła także do pani, która im wszystkim zrobiła taką niespodziankę.

Będąc świadkiem powitania z nią pana, który gorącemi pocałunkami okrywał jej ręce i usta, zrozumiała, że jedna chwila potargała te nici, które tak pracowicie uprzędła.

Gdy siląc się na oznaki uradowania, całowała panią w rękę, ta rzekła tylko spojrzawszy na nią:

„A! Kasia zapuściła grzywkę, na czyjąż to intencyę?“

Pan Adam czuł, że się zaczerwienił, bo zdawało mu się, że żona spojrzała na niego z pod oka; więc maskując mimowolne zmięszanie, rzekł:

„Idzie za mąż . . . .“

Spostrzegł się, że wyjechał ni w pięć ni w dziewięć, ale tak bywa, gdy kto ma niezupełnie czyste sumienie; aby z tego wybrnąć, spojrzał niemal błagająco na Marcina.

Kasia spuściła oczy, odzyskała jednak pewność siebie; pomiarkowała, że nie wszystko stracone, bo jakaś nieprzerwana niteczka pozostała dla niej: zawsze pan coś jej winien, miała w nim współwinowajcę . . . .

Marcin czując się panem sytuacyi, przystroił się w minę uroczystą i miał ochotę robić ceregiele, ale Kasia spojrzała nań takiemi oczyma, że żal mu jej się zrobiło.

Zmiękł, jak wosk pod palcami.

„Będzie czas pomówić o tem“, rzekł z godnością, ściskając kolana pani, „teraz nie pora.“

„A! więc to Marcina uszczęśliwiasz?“ rzekła pani.

Marcin ukłonił się, nie rozumiejąc ironii zawartej w tych słowach — wziął je w literalnem znaczeniu.

Są ludzie przeznaczeni na to, aby płacić cudze długi; smutna to rola — ale jeżeli im samym sprawia zadowolenie, co nam do tego?

II.

Co ją mogło obrazić?

Pan Feliks Drobisz, urzędnik jednej z dyrekcyj dróg żelaznych, nie mogąc, przyszedłszy z biura do domu, doczekać się obiadu, bo żona nie powróciła jeszcze z próby teatru amatorskiego w Towarzystwie Dobroczynności, chodził po pokoju bardzo zirytowany, paląc papierosa za papierosem.

Z po za drzwi sypialni dawało się słyszeć monotonne zawodzenie czteroletniego Edzia, któremu towarzyszyły perswazye starszej od niego o lat parę Maniusi.

Nareszcie ta ostatnia wbiegła do pokoju.

„Tatku“, mówi, „Edziowi chce się jeść.“

„Dobrze, dobrze“ — odpowiada tatko roztargniony, „daj mu tymczasem chleba z masłem; mama zaraz przyjdzie“

„Kiedy niema ani kawałka; mama zapomniała zostawić Wiktosi pieniędzy na chleb.“

Pan Drobicz woła Wiktosi, która wchodzi mrucząc, że pieczeń spaliła jej się do szczętu, daje jej pieniądze i każe przynieść natychmiast bochenek chleba.

Tymczasem pokazuje się i zamazany Edzio.

„Nie becz, smarkaczu jakiś!“ odzywa się ojciec z irytacyą, ale pomimo to dobywa z kieszeni chustkę i uciera małemu nosek, który gwałtownie się dopominał tej usługi.

Przy tej sposobności spostrzega, że jego pociechy musiały nie być dziś myte, bo są zamorusane, aż brzydko patrzeć — ale nie potrzebuje się pytać dla czego, bo wie, że matka uczyła się roli od samego rana.

To mu nasunęło cały szereg wspomnień.

Pobrali się przed ośmiu laty. Ona była córką byłego urzędnika, emeryta, zamieszkałego w powiatowem miasteczku. On w tej samej miejscowości był zawiadowcą stacyi na kolei, bo po ożenieniu dopiero przeniesionym został z awansem do biur dyrekcyi w Warszawie. Panna Malwina była uderzającą pięknością i fama jej wdzięków sięgała na kilka mil wokoło. Uchodziła nadto za pierwszorzędny talent dramatyczny; bywała primadonną wszystkich teatrów amatorskich, jakie w mieście powiatowem organizowano na cele dobroczynne.

Zachwycali się nią wszyscy, nic więc dziwnego, że i pan Feliks zadurzył się w niej, a następnie zakochał bez upamiętania.

Zakochać się, nic łatwiejszego, ale nierównie trudniej było wzbudzić wzajemność. Trzeba było na to kogoś pokaźniejszego niż pan Feliks Drobisz, człowiek pełen zalet, pracowity, rządny, oszczędny, dobrze prowadzący się, ale tracący bardzo wiele na porównaniu z tymi, którzy skła-

dali hołdy powiatowej piękności. Jakże on po filistersku wyglądał w swoim uniformie zawiadowcy stacyi obok tych wszystkich butnych dziedziców Gołoborzów, Pustych Gumien, Zastawnic i t. p. a choćby nawet przy wyfraczonych i woniejących „fikalskich“, których dostarcza sfera urzędnicza.

Z tymi ostatnimi rywalizować nie chciał, choćby mógł, z tamtymi nie mógł, choćby chciał; ograniczał się przeto na biernych oznakach zachwytu, jaki w nim wzbudzała panna Malwina.

Ta bierność jednak zwyciężyła w ostatku. Efemeryczne hołdy „fikalskich“, których nigdy nie brano na seryo w otoczeniu panny, nie miały żadnych pozytywnych następstw; dziedzice zaś Gołoborzów, Pustych Gumien, Zastawnic i t. p. staliby się wówczas tylko niebezpiecznymi rywalami dla pana Feliksa, gdyby panna Malwina posiadała była milionowy albo chociażby tylko krociowy posag, ale panna Malwina nie posiadała innego wiana oprócz wdzięków, a to dla tych panów nie przedstawiało żadnego interesu.

Wreszcie jeden z nich, który chciał się zabawić dłużej niż inni stał się powodem takiego zawodu i rozczarowania panny Malwiny, że ta, przejrzawszy jasno, wzięła na rozum i kapitulowała przed biernym oporem pana Feliksa, który właśnie miał być przeniesionym na korzystną posadę do Warszawy.

Oddała mu swoją rączkę.

Pan Feliks nie może zaprzeczyć, że od tego czasu był prawie zupełnie szczęśliwym. Po roku pożycia urodziła im się córeczka, w parę lat potem syn, co zacieśniło węzły, jakie łączyły małżeństwo. Jego Malwina była taką

żoną, że najzłośliwszy obmowca nie miałby co powiedzieć przeciwko niej.

Ale szczęście najszczęśliwszego z ludzi musi mieć swoje chwile zaćmienia; potrzebuje ich ono tak samo, jak kocioł parowy klapy bezpieczeństwa. Nadmiar dobrego, jeżeli niema ujścia, sprawia przesyt, przygnębia i rodzi obawy. Zbyt długo trwająca pogoda, kończy się najczęściej uraganem.

W ten sposób filozofował pan Feliks Drobisz i dla tego, chociaż mu to było niekoniecznie miłem, okazał się pełnym pobłażliwości, gdy po kilkoletniem pożyciu w jego żonie ocknęły się dawne upodobania.

Jakimś sposobem, przez kogoś, co był onego czasu świadkiem tryumfów scenicznych pani Malwiny, wieść o nich doszła do Warszawy. Skutkiem tego jeden z promotorów widowisk amatorskich na cele dobroczynne, prezes komitetu teatralnego, jak go tytułowano, złożył ceremonialną wizytę państwu Drobiszom i zaprosił panią do uczestnictwa, co zostało przyjęte z zapałem.

Było to zaćmienie szczęścia małżeńskiego pana Feliksa, przeciwko któremu on nie miałby był nic tak dalece do powiedzenia, gdyby było przemijającem — ale na nieszczęście trwało trochę za długo, sprowadzając niemiłe następstwa.

Ot i teraz, zgłodniały, bo niejadł śniadania, czeka na obiad; to samo i dzieci. Mógłby wprawdzie kazać sobie podać, co tam jest, i zjeść z niemi — ale czyżby to było w swojem miejscu? Jak tu nie zaczekać na żonę? Koniec końców całe owo nieszczęście ogranicza się na tem, że wytrzyma z żołądkiem jeszcze jakie pół godziny, a niechby godzinę. Ale to gorzej, że skutkiem

tych coraz częstszych wydalań się matki dzieci są coraz więcej zaniedbywane; po całych dniach chodzą nieumyte i nieuczesane; ojciec przecie ma swoje obowiązkowe zajęcia, które nie zostawiają mu czasu na to, żeby im ucierał noski.

Trzebaby temu koniecznie raz koniec położyć — ale jak? Pan Feliks miał już pewien projekt, który rozważony przez kilka dni, miał czas dojrzeć. Postanowił go tedy użyć. Korzystając z chwili wolnej, gdy żony nie było widać, nakarmiwszy dzieci chlebem z masłem, siadł przy biórku, wziął ćwiartkę listowego papieru i zaczął pisać.

Pisał anonim — więc, aby zmienić pismo, kreślił litery nie w zwykły sposób od góry do dołu, lecz odwrotnie. Szło mu to jako tako, lecz gorzej było ze stylem. Przywykły do referatów, których cała wymowa polegała na cyfrach, biedził się nad budową frazesów.

To, co pisał, wymagało subtelnej finezyi, żeby osiągnęło skutek, a on w tem nie miał wprawy. Ale przecie wybrnął jako tako z zadania i właśnie kończył jakimś zakrętasem, mającym symulować podpis, gdy weszła żona.

Schował swoje wypracowanie do bocznej kieszeni surduta i po przywitaniu, któremu starał się ile możności nadać cechę obojętności, zasiadł w milczeniu do familijnego obiadu.

Zdawało się, że pani Feliksowa nie zwracała najmniejszej uwagi na zagadkowe usposobienie męża, bo była rozpromieniona i rozpowiadała najswobodniej w świecie o próbie, z której wróciła pod wrażeniem odniesionych tryumfów.

„Wiesz też, Feluniu“, mówiła kończąc swoją relacyę, „co mi powiedział nasz prezes? Zgadnij!“

„Zapewne słowa uznania za ofiarę, jaką z siebie robisz“, odpowiada Felunio z jakąś ironią.

„Ofiarę? cha! cha! cha! Nikt mnie do niej nie zmusza; jeżeli to jest ofiarą, to najzupełniej dobrowolną. Oto powiedział mi, że mając talent, powinnabym wstąpić do teatru.“

„To widzisz!“

„Co takiego?“

„Że miałem racyę nazywać to ofiarą; jest to naturalne następstwo tego. co robisz z siebie. Być narażoną na słuchanie podobnych propozycyj!“

„Cóż ty znowu! To był komplement powiedziany artystce!“

To słowo: „artystce“ wymówiła z emfazą.

„Być może, ale impertynencya dla żony i matki dzieciom.“

„Impertynencya!“

„Powinnoby cię to skłonić do zastanowienia się nad następstwami, bo na dobitkę patrz, jaki list dziś odebrałem.“

To mówiąc pan Feliks zarumieniawszy się po mimowoli, podaje żonie swoje własnoręczne pismo, z takim mozołem wypracowane.

Pani Feliksowa porywa je i czyta następujące słowa:

„Pisze do ciebie osoba dobrze ci życząca. Jeżeli masz choć odrobinę władzy w domu (o czem niektórzy wątpią), nie pozwalaj swojej żonie występować w teatrach amatorskich. Jej i twoja dobra sława cierpi na tem. Twoja pani posiada zanadto wdzięków, o by to nie stało

się dla niej niebezpieczeństwem — połowa amatorów, którzy widzą zachętę w tem, co jest może tylko niewinną zalotnością, kocha się w niej na zabój. Jeżeli jest kobietą uczciwą, niech unika pozorów i wycofa się póki czas jeszcze. Tego wymaga jej położenie jako żony i matki."

Podczas czytania pan Feliks śledził pilnie wyraz oblicza swojej żony, na którem spodziewał się wyczytać zgrozę, oburzenie, lęk. Tymczasem, o dziwo! zamiast tego wszystkiego, na twarzy pani Malwiny pokazał się jakiś nieokreślony uśmieszek, zmieniający się co chwila i wyrażający całą gamę uczuć, zlewających się w jeden akord brzmiący . . . zadowoleniem!

Oczywiście, słowa nieznajomego korespondenta sprawiały jej przyjemność; odczytała je po raz drugi i trzeci, poczem zamiast zwrócić na męża wzrok pełen błagania i skruchy, jak się tenże na pewno spodziewał, skierowała go ku zwierciadłu, zdobiącemu jej toaletę.

Zawód p. Feliksa był najkompletniejszy.

„Kto też to mógł pisać?" odezwała się po chwili z wielkiem ożywieniem, „nie domyślasz się przypadkiem? charakter widocznie zmieniony."

„I tak obojętnie to przyjmujesz?" zapytał mąż.

„Wcale nie obojętnie . . . rozumiesz przecie, że mi to musi pochlebiać."

„Pochlebiać?"

„I tobie także", peroruje jejmość z zapałem, „przynajmniej tak być powinno; czyż może coś być przyjemniejszego dla męża, jak słyszeć hymny uwielbienia skierowane do jego żony?"

„Ty to nazywasz hymnami uwielbienia?"

„A spodziewam się. Podług was jest to próżnością, ale żadna z nas nie może się gniewać o to, że ktoś wysławia jej piękność. Chęć podobania się jest w nas wrodzoną.“

„Ależ następstwa! następstwa!“

„Następstwa? to zależy od nas samych. Czyż kobieta przestaje być uczciwą dlatego, że połowa nadskakujących jej mężczyzn kocha się w niej?“

„A jeżeli daje powody?“

„To co innego. Ale są powody i powody“, mówi pani coraz więcej zapalając się. „Możecie potępiać lafiryndy, wabiące do siebie mężczyzn przy pomocy kokieteryi, ale pozwólcież nam uczciwym tej niewinnej rozkoszy, jaką nam sprawia pewność, że się podobamy.“

„Uczciwemi nazywają tylko te, które chcą się podobać wyłącznie swoim mężom“, odpowiada pan także coraz więcej zirytowany.

„Chcieć, to za mało, potrzebaby jeszcze do tego abnegacyi, o którą trudniej. Nie jesteśmy tureckiemi niewolnicami, żeby się odgradzać zasłonami od spojrzeń mężczyzn.“

Pan Feliks słuchając wywodów swojej żony, chodził coraz większymi krokami po pokoju, nareszcie zapytuje:

„Więc koniec końców, ten list cię nie obraża?“

„Jeżeli może mnie co obrazić, to twoje podejrzenie!“ rzecze majestatycznie małżonka.

„Ale cóż znowu, ja cię nie podejrzywam wcale, przepraszam!“ odpowiada mąż, nie chcąc zajść zadaleko.

„Nie podejrzywasz!“ mówi pani, „a cóż znaczyły twoje słowa?“

„Jeżeli ci robię uwagi“, dodaje pan Feliks z go-

dnością „to dla tego, że jako mąż i ojciec twoich dzieci mam prawo i obowiązek strzedz cię od fałszywego kroku.“

„To jest, że masz prawo i obowiązek odprowadzenia mnie jutro wieczorem na próbę. Będziesz miał więc możność sprawdzenia, o ile sama winną jestem temu, co jakiemuś głupcowi podobało się o mnie napisać.“

Pan Feliks skrzywił się szkaradnie, lubo nie wziął tak dalece do serca tego, że jego żona nazwała głupcem autora listu; jego głównie obeszło to, że mógł się tak omylić. Przekonał się, jak fałszywego użył środka i jak był naiwnym przypuszczając, że wywoła oburzenie tem, co musi pochlebiać każdej kobiecie, chociażby nawet była największą purytanką pod względem zasad. Sądził w prostocie ducha, że jejmość obrażona posądzeniami nieznajomego autora listu, aby wykazać ich bezpodstawność, w świętem oburzeniu odeszle rolę panu prezesowi i wyrzeknie się uczestnictwa we wszystkich teatrach amatorskich.

Tymczasem stało się przeciwnie.

To mu dało wiele do myślenia, a naprzód przekonało, że pomimo ośmioletniego pożycia z żoną, pod względem znajomości natury kobiecej był prawdziwym żakiem.

Na dziś przeto poprzestał na tem, co się stało, nie rozmazując dalej sprawy.

Drugiego dnia zaprowadził sam żonę na próbę, której był bardzo uważnym widzem. Usiadłszy w jednej z ławek pogrążonych w półcieniu, przypatrywał się żonie, śledząc każdy jej ruch.

Była bardzo ożywiona i wyglądała prześlicznie; najprzód więc, musiał to przyznać sam przed sobą po cichu,

że gdyby był na miejscu któregokolwiek z tych panów, którzy uczestniczyli w próbie, nie byłby w stanie powstrzymać się, aby nie złożyć hołdu jej wdziękom.

Z jej strony nie zauważył nic takiego, coby mu dało prawo do obaw. W obejściu z mężczyznami była zimna, nie wyróżniała żadnego z nich jakąś szczególną poufałością, pomimo, że czarowała wszystkich uśmiechem, w którym z pewną kokieteryą pokazywała prześliczne ząbki.

Jej ząbki! niestety, pan Feliks, jako mąż, był posiadaczem tajemnicy, o której nikt na świecie nie wiedział.

Przed paru miesiącami jego pani postradała była jeden ząbek na samym przodzie. To ją przyprowadziło do rozpaczy. Przez jakiś czas nie wychodziła wcale z domu, kryjąc się przed ludźmi, a jeżeli wypadło już jakie konieczne spotkanie, sznurowała usteczka, uśmiechając się tylko ich kącikami. Nareszcie w obawie jakiejś mimowolnej niedyskrecyi, zdecydowała się zastąpić ów wypadły ząbek sztucznym.

Od tego czasu odzyskała cały humor i wesołość. Stała się rozmowniejszą niż kiedykolwiek, a gdy trzeba było uśmiechnąć się, mogła sobie już pozwolić tego bez żadnej obawy.

Cóżby się jednak stało, gdyby tajemnica wyszła na jaw? na wspomnienie o tem truchlała. Strzegła jej więc jak oka w głowie, szczególniej przed służącą i dziećmi, których rewelacye bywają najniebezpieczniejsze. Gdyby się to dało, nie byłaby dopuściła do niej nawet męża, ale to już było niepodobieństwem.

Zresztą, czyż można było przypuszczać, aby ta właśnie straszna tajemnica w jego ręku stała się bronią przeciwko

własnej żonie? Gdyby to przypuszczenie przyszło jej było kiedykolwiek do głowy, byłaby się rozśmiała sama z siebie.

A jednak tak się stało!

W kilka dni potem, przy samym końcu obiadu (aby nie popsuć żonie apetytu) pan Feliks dobywszy z kieszeni list w zalepionej kopercie, rzekł:

„Znowu odebrałem jakiś anonim, tak przynajmniej wnoszę z pisma; nie otwierałem go, domyślając się, że zawiera to samo co poprzedni. Są to insynuacye, których nie ma co brać do serca; sądzę więc, że najwłaściwiej byłoby to spalić.“

„Bezwątpienia“, rzecze pani, „ale jednak ciekawa jestem tych bredni, to mnie bawi.“

„Jak chcesz, kochanie.“

Przedewszystkiem obejrzano napis na kopercie. Charakter był bardzo niekształtny; widocznie ktoś użył do pisania lewej ręki. Pani naśmiała się z tego dowoli, nareszcie nie bez pewnego bicia serca wydobyła list.

Oto co opiewał:

„Jeżeli kobieta z pretensyą do podobania się ma tajemnicę, mogącą zdyskredytować jej wdzięki, niech jej strzeże dobrze, jeżeli nie chce wystawić się na śmieszność. Twoja żona jest przedmiotem żartów, które nie wiem czyby jej się podobały, gdyby je mogła słyszeć. Pewna osoba (naturalnie płci męzkiej) wychwalała jej uśmiech, którym wszystkich czaruje; na to obecny właśnie prezes odezwał się: „byłby istotnie niebezpiecznym, gdyby ząbki, które przy tej sposobności pokazuje, były jej własne“. Wiem, że to jest fałsz, ale gdy już raz poszedł w kurs, nie wyperswadujesz nikomu, że to nieprawda. Są tacy,

co utrzymują, że cała szczęka wprawiona i na próbach lornetują twoją żonę po to tylko, żeby to sprawdzić, studyując jej każdy uśmiech. Były już zakłady. Z pewnością dentysta został licho wynagrodzony i wygadał się.“

Ten ostatni frazes bardzo zręcznie oddalał podejrzenie od męża, który istotnie, oprócz dentysty, sam jeden był posiadaczem tej tajemnicy; mógł przeto najobojętniej w świecie zapalić papierosa, podczas gdy żona czytała. Spoglądał tylko z pod oka na jej mieniące się co chwila oblicze.

Gdy skończyła, naprzód zawołała tragicznie: „Okropność!“ — potem zmięła list i rzuciła na stół, mówiąc do męża:

„Czytaj! czytaj!... a! to niegodziwość!“

Pan Feliks przeczytał list uważnie, potem udając wielkie oburzenie, rzecze:

„Wiesz ty, kochanie, ja go zaskarżę do sądu.“

„Kogo? prezesa?“

„Nie! dentystę. To jest zdrada zaufania.“

„Jeszczeby tego brakowało! Zresztą onby tego nie zrobił, ja wiem!.... to prezes tak sobie zmyślił na prędce... o! niegodziwy... i co za ordynaryjna przyczepka... a choćby też tak było?... jeden ząb! albo to każdemu nie może się trafić?.... a! wiem, jak się zemszczę.“

Z pospiechem wydobyła z kieszeni sukni zeszyt: była to rola, którą zawsze przy sobie nosiła. Z majestatycznem giestem podała ją mężowi, mówiąc:

„Feliksie! jeżeli masz jakiekolwiek przywiązanie dla żony, jeżeli ci jest drogą jej dobra sława, odeszlesz mu

zaraz rolę. Nie chcę wiedzieć o żadnych ich teatrach amatorskich.“

„Kochanie, czy to wypada?“ robi uwagę mąż.

„Jakto! wahasz się?“

„Ależ nie, tylko myślałem . . .“

„Co myślałeś?“

„Że dla takiej drobnostki pozbawiać się przyjemności, do której tyle wagi przywiązujesz . . .“

„To ty nazywasz drobnostką! ty, mąż!“

„No, jużci wolę, żeby cię posądzano o fałszywe zęby, niż o kokieteryę, która, przyznasz, że w kobiecie zamężnej . . .“

Na te słowa pani Malwina uciekła się do spazmów, ale pan Feliks, wiedząc z doświadczenia, że to przeminie, starał się przyjąć wybuch z całym stoicyzmem, na jaki mógł się zdobyć. Zresztą, wolał już poświęcić jakąś godzinkę na trzeźwienie, perswadowanie i nawet przepraszanie żony, aniżeli dzień po dniu jadać obiad spóźniony i ocierać noski dzieciom.

Środek, jakiego użył dla wyleczenia żony ze zgubnego dla spokoju domowego dyletantyzmu, był nieco brutalny, to nie ulega wątpliwości, ale widząc, jak skutecznym się pokazał, winszował sobie pan Feliks, że wpadł na jego pomysł.

Że jednak nie chwalił się przed nikim i że tajemnica co do autorów obu anonimów pozostała na zawsze nieodgadnioną, dodawać byłoby zbytecznem.

Wszakże ta tajemnica to talizman, który mu zapewnił szczęście domowe — jakże jej strzedz nie miał?

III.

Burza jesienna.

Bywają ludzie obdarzeni na pozór przywilejem wiecznej młodości. Mówię na pozór, bo dzieje się to tylko skutkiem lepszego zakonserwowania się lub szczęśliwej fizyognomji — ale zawsze co starość to nie młodość — trudna rada! I w naturze trafia się nieraz, że mamy w późnej jesieni letnie dni; ale choćby najpiękniejsza jesień, to gdy liście z drzewa raz już opadną, nie zazieleni się ono na nowo; a jeżeli przypadkiem z którego pączka wystrzeli listek, to mróz zwarzy go niebawem. Tak samo zdarza się, że i człowiek w późnej jesieni swojego życia, mając siebie za wyjątek z pod odwiecznej reguły, radby odnowić chwile płochej młodości, ale cóż, kiedy w prędce przekonywa się, że to tylko . . . fałszywy apetyt.

Jedną z takich zwodniczych fizyognomii cieszył się p. Ambroży, który chociaż liczył sobie już blisko sześćdziesiątkę, wyglądał zaledwie na czterdziestokilko letniego. Winszowano mu tego tak często, iż nareszcie nabrał przekonania, że ma zdrowie żelazne i posiada wszelkie kwalifikacye na Matuzala. Stało się to u niego po prostu manią, każdą rozmowę usiłował naprowadzić na kwestyę wieku i dobrego wyglądania, przydawał sobie nawet lat, aby wywoływać tem większe wrażenie. Ile razy słyszał, jak ktoś skarzył się, że z wiekiem zaczyna zapadać na zdrowiu, zwykł był mawiać:

„Ja, panie, mam już siódmy krzyżyk (notabene, nie skończył jeszcze sześćdziesiątki) a nie myślę wcale narzekać.“

„Nie może być!“ odpowiadano, „pan dobrodziej nie wyglądasz wcale na te lata.“

„No, to prawda, wyglądam młodziej, ale tak jest, panie“, mówił przybierając wyraz fałszywej skromności, gdy oko błyskało tryumfem.

O takich przypadłościach, jak ociężałość, która przychodziła z wiekiem, jak jakieś strzykanie i łamanie po kościach, jak coraz częściej dokuczająca dychawica, albo początki kataru żołądkowego i stwardnienie wątroby, nie mówił nic a nic, uważając to wszystko za objawy przypadkowe, które tak samo dają się nieraz we znaki i młodym.

Miał p. Ambroży żonę młodszą od niego o lat przeszło dziesiątek, która jednakże była słabowitą, więc znowu wyglądała starszą niż wiek wskazywał. Było to stadło bezdzietne, ale pod względem pożycia wzorowe, co może wypadało zawdzięczać temu, że jejmość jakkolwiek wątła, w domu wodziła rej, trzymając małżonka niejako pod pantoflem. Słabość jest czasem wielką siłą.

Z biegiem lat jednakże stan rzeczy po trochu się zmienił; pani zestarzała się przedwcześnie, pan ani myślał abdykować ze swoich pretensyj do młodości. Przy odrobinie złej woli harmonia mogła być zakłóconą. Jeszcze też sama pani Ambrożowa dla przypodobania się mężowi, nie przewidując w niewinności ducha żadnych złych z tego następstw, podniecała w nim to dobre o sobie rozumienie, potrącając raz po raz o strunę, która brzmiała dlań najwdzięczniej.

I tak naprzykład stawała z nim przed zwierciadłem i każąc mu się przeglądać, mówiła:

„Jak ja staro przy tobie wyglądam, mój mężusiu, prawda?“

„Ale gdzie tam! zdaje ci się.“

„Jakto, nie uważasz tego?“

„Musiałaś dziś źle spać, więc jesteś trochę mizerna.“

„Nie! ty musisz mieć jakiś sekret, przyznaj się.. jesteś drugi Cagliostro... przecież ty zamiast się starzeć, to jesteś młodszym z każdym dniem, wyraźnie przystojniejesz.“

„To tylko tak w twoich oczach, kochanie“, odpowiadał obłudnie, lecz porównywając swoje pełne oblicze ze zmarszczkami połowicy, podziwiał mimowolnie względność, z jaką obszedł się z nim ząb czasu, wówczas gdy na jej wdziękach zostawiał tak widoczne ślady swoich zadraśnięć.

To mu nasuwało najzuchwalsze zamysły, które, chociaż opędzał im się jak mógł z początku, utkwiły mu nareszcie w głowie. Nie wiedzieć, jak doszedł do tego, że swoje obowiązki względem żony zaczął uważać wprost za jakąś funkcyę honorową, a stanowisko swoje, jako małżonka, za rodzaj synekury, pozwalającej mu ubiegać się o poboczne beneficya, do których, jak mu się zdawało, miał wszelkie prawo. Były to zrazu jakieś pojęcia niejasne, obrazy mgliste, które potrochu zaczęły przybierać kształty coraz to wyraźniejsze. Marzył coraz śmielej o emancypacyi — chociaż długo nie mógł się zdecydować na przyjęcie jakiegoś pozytywnego planu, podobny do długoletniego więźnia, który odzyskawszy wolność, nie wie sam jeszcze, jak ma z niej korzystać i gdzie się udać.

Przedmiotem jego marzeń była naturalnie ta płeć zdradziecka, której pierwsza reprezentantka Ewa w raju jeszcze skusiła do złego pierwszego mężczyznę. Wiele bardzo względów, z któremi bądź co bądź musiał się rachować, nie dozwalały mu puszczać się na szerszą arenę, dostępną dlań chyba w jakiejś bardzo odległej niedającej się bliżej określić przyszłości; z konieczności więc ofiarami, na których podbicie pozwalał sobie snuć zdradliwe projekta, mogły być na początek tylko nimfy, drjady i najady zaludniające Kopytówkę, wieś jego dziedziczną. Dalekiemi one były od urzeczywistnienia jego ideałów, ale któż nie wie, jak ponętnego zapachu nabiera owoc zakazany od chwili, gdy poń sięgamy?

Tak właśnie było z panem Ambrożym. Wierny do pewnego czasu małżonek, zwykł był patrzeć dotychczas na kopytowieckie piękności okiem gospodarza tylko, klasyfikując je na podstawie większej lub mniejszej zręczności i zdolności do pracy. Jeżeli która z nich wzbudziła w nim admiracyę, to tylko ze względu na tę zaletę; jeżeli podziwiał jej zręczne ruchy lub klasyczną budowę, to wówczas, gdy te marmurowe kształty dźwigały snop zboża, a giętka kibić przeginała się malowniczo przy grabieniu siana lub przy wywijaniu sierpem na zagonie. Teraz zaczynał dopatrywać w nich zupełnie innych stron.

Dawniej, gdy przy okrężnem przodownica wręczając mu wieniec z żyta lub pszenicy uścisnęła jego kolana, brał ją w obecnosci żony w objęcia z uczuciem całkiem ojcowskiem, do którego mógł się otwarcie przyznać przed towarzyszką życia — a gdy czasem który z wolnomyślniejszych sąsiadów pozwolił sobie na ten temat jakiejś swawolnej uwagi, nie licującej z zasadami wyznawanemi

przez p. Ambrożego, ten odpowiadał dobrodusznie śmiejąc się na całe gardło — bo swoją drogą lubił zawsze tłuste dykteryjki:

„Nie dla psa kiełbasa, mości dobrodzieju.“

I mówił to w najlepszej wierze, bez żadnej obłudy. Dziś przy podobnej okoliczności zaczerwieniłby się z pewnością, a już jak ognia bał się, żeby żona nie wyczytała mu przypadkiem z oczu jego tajemnych myśli. I to nie dla tego, żeby sumienie robiło mu zbyt dotkliwe wyrzuty, bo na to dał sobie absolucyę, ale ze względu na sceny małżeńskie, które mógł napewno przewidywać w podobnym wypadku.

„Kobiety są tak uprzedzone, tak łatwo dają ucho plotkom“ rozumował sobie, „że z rzeczy, o której nie warto mówić, gotowe są zrobić najokropniejszą awanturę. Trzeba się mieć na ostrożności.“

Pan Ambroży mógł napewno spodziewać się, że jego pani, jakkolwiek stworzenie wątłe i słabowite, w obronie swojej godności małżeńskiej stanie się jeżeli nie groźną, to dokuczliwą. Jej siłą było zamknięcie się w milczeniu — a jest to broń tak dobra, jak każda inna; bywa czasem nawet daleko groźniejszą niż najbystrzejsze potoki słów; te przynajmniej przemijają, uchodzą bezpowrotnie, gdy milczenie rozlewa się jak bagnisko i zatruwa wszystko naokoło.

Emancypujący się małżonek postanowił tedy być ostrożnym, ale to samo już wskazuje, że nie myślał zrzekać się swoich zamiarów. W piersiach jego założyły sobie magazyn palne materyały, dla których dosyć było jednej iskierki, aby wybuchły płomieniem.

Tej iskierce dano było paść z oczu mężatki: grzech

podwójny, z którego jednak pan Ambroży tłumacząc się wyjątkowemi okolicznościami, nic sobie nie robił. Mężatce tej było na imię Magda; kobiety zaś wiejskie zazdroszcząc jej smukłego wzrostu, przezwały ją trywialnie Wielguśnicą. Z męża nosiła nazwisko Graczykowej, albo wprost Maćkowej. Oprócz smukłego wzrostu, obdarzona była nadto imponującą urodą, pod względem której nie miała we wsi rywalki. Był to typ mogący służyć rzeźbiarzowi za model do posągu Junony.

Pośrednikiem w bliższem zetknięciu się pana Ambrożego z Maćkową był jak zwykle przypadek, ten sam przypadek, który biblijnej pamięci królowi Dawidowi nasunął grzeszne zamysły względem Betsabei, ukazawszy mu wcale niedyskretnie z tarasu pałacowego żonę Urjaszową, myjącą się w swojej sypialni bez najmniejszej żenady, bo nie myślała, żeby ją kto podpatrywał (co zresztą nie jest dowiedzionem historycznie). Tak samo pan Ambroży zapłonął w jednym momencie, niby siarka, gdy raz wyszedłszy na przechadzkę za ogród, nad staw utworzony przez zatrzymaną przy młynie rzekę, ujrzał Magdę stojącą prawie po kolana w wodzie, z zakasanemi powyżej łokci rękawami, piorącą bieliznę i wywijającą energicznie trzymaną w muskularnej ręce kijanką.

Widok podobny na wsi nie jest wcale osobliwością, a dla niego nie był niczem nowem; dlaczego w owej chwili uderzył go, sam nie wiedział. Znał przecie Magdę oddawna i widywał ją bardzo często, a jednak nigdy nie zrobiła na nim tego wrażenia, co dzisiaj. Lubił ją zawsze jako dzielną robotnicę i rządną gospodynię, nawet udzielał jej chętnie nieraz sposobem pożyczki czy to drobną kwotę pieniędzy, czy jaką ćwierć zboża na przednowku lub do

siewu, ponieważ wiedział, że mu to rzetelnie odda lub odrobi; oto i teraz właśnie była mu winną za dwie ćwierci jęczmienia, które jej pożyczył do siewu. Jeżeli ta jego uczynność miała jaki interes, to ten chyba, żeby w osobie czy to samej Magdy, czy jej męża, zapewnić sobie robotnika na czas sprzętu siana, żniwa lub kopania kartofli.

Dlaczegoż w owej pamiętnej chwili myśli jego przybrały zupełnie inny kierunek? dlaczego te dwie ćwierci jęczmienia dotychczas nie zapłacone nasuwały mu pomysły nie mające żadnego związku z gospodarstwem? ani myślał zastanawiać się nad tem, tylko ulegał bezwiednie natchnieniom będącym dziełem odniesionego wrażenia.

Prawda i to, że znalezienie się Magdy mogło było wydać się prowokującem, bo gdy ujrzała pana stojącego nad brzegiem stawu i przypatrującego się jej robocie, wyszła z wody poprawiając braki toalety zastosowanej do czynności jaką była zajęta, a otarłszy mokrą rękę o fartuch, przystąpiła doń i pocałowała go w rękę. Ale to także nie było wcale czemś nadzwyczajnem; wszakże ile razy zdarzyło jej się spotkać z panem, witała go w taki sam sposób z wielką rewerencyą, bo zależało jej wiele na tem, żeby być zawsze w łaskach. Tym razem jednak jej uśmiech (tak się przynajmniej panu Ambrożemu zdawało) miał wyraz zupełnie inny niż zwykle; może dlatego, że uśmiechając się pokazała szereg zdrowych, równych i białych niby perły ząbków, których piękności, rzecz dziwna, nigdy przedtem nie zauważył. Niemniejszy urok miał dlań także nowo dostrzeżony rozkoszny dołeczek, uformowany skutkiem uśmiechu na jędrnym, brzoskwiniowym puszkiem pokrytym policzku.

To też odrzucając sztywny ceremoniał, przestrzegany zazwyczaj przy podobnych spotkaniach, miał p. Ambroży żywą ochotę zawiązać z Magdą rozmowę, powiedzieć jej coś ujmującego; tylko nie wiedział, jakby to obrócić, żeby nie wystawić na szwank swojej godności, a powiedzieć co miał na myśli. Zdobył się nareszcie na to, że poklepał ją poufale po policzku i zapytał się:

„Ciepła woda?“

„Abo to mróz. żeby miała być zimna“, rzekła w sposób figlarny i odeszła napowrót do swojej roboty.

Pan Ambroży odprowadzając ją oczyma i podziwiając jej chód, jej pyszne kształty i pełne wdzięku przegięcie kibici, nie pojmował jak się to stało, że dotychczas nie zwracał wcale na to wszystko uwagi. Nie miał oczu? ślepy był, czy co? Tem chciwiej za to pożerał Magdę oczyma, niezadowolony wielce ze zbytecznych ceremonij, jakie względem niego zachowywała; wszedłszy bowiem do wody, zanadto troskliwą okazała się o przyzwoite decorum swojej toalety, strzegąc się malowniczego nieładu, który go tak zachwycił w pierwszej chwili. Nie mógł zaprzeczyć, że dawała tem dowód wielkiego uszanowania dla jego osoby, ale byłby daleko wolał, żeby go była traktowała poufalej i porzuciła niepotrzebną etykietę.

To też dając wyraz temu niezadowoleniu, po pewnym czasie, gdy kijanka, którą Magda wymachiwała z wielką energją, spoczęła na chwilę, rzekł nieśmiało:

„Magda!“

„Słucham“, odrzekła taż nie patrząc nań, bo zajęła się pilnie przewracaniem chust na drugą stronę.

„Spodniczka ci się macza w wodzie.“

„No, to co?“

„Szkoda!“ zakonkludował, ukrywając w tem jednem słowie myśl, którą chciał wyrazić.

„Nic jej się nie stanie“, rzekła na to Magda, biorąc się z zapałem na nowo do kijanki.

Ton, jakim wymówiła te słowa, dał poznać panu Ambrożemu, że tajemne jego intencye zostały zrozumiane. Sam nie wiedział, czy się z tego cieszyć, czy wstydzić. Bądź co bądź, preliminarya zostały zawiązane, chociaż nie w taki sposób, aby był zupełnie z nich zadowolonym. Żeby się była choć obejrzała! Uraziła się, czy co?

Stał tak jeszcze czas jakiś, niepewny co ma dalej robić, gdy nagle usłyszał po za sobą w ogrodzie wesołe szczekanie Biża, faworyta i nieodstępnego towarzysza żony, co było wyraźną wskazówką, że i ona sama musi być gdzieś niedaleko.

Przeląkł się tak, jak gdyby był już złapany na najgorętszym uczynku; zaczął więc rejterować pomaleńku ze swojego obserwacyjnego stanowiska, co było tem koniecznieiejszem, że do prania poczęło się schodzić coraz więcej kobiet, w których to jego niezwykłe zachowanie się mogłoby wzbudzić jakieś podejrzenia. Zdawało mu się już nawet, że spostrzega złośliwe uśmiechy i dwuznaczne spojrzenia kumoszek; ażeby więc nie dać pola do domysłów tak im, jak żonie, która prawdopodobnie widziała go z ogrodu, wdział maskę najzupełniejszej obojętności. Szedł brzegiem stawu jak najwolniej, przystawając czasem dla zbierania kamyków, któremi bawił się jak student, puszczając k a c z k i na wodę, ale nie obejrzał się już ani razu na Magdę, która w prostocie ducha nie domyślała się wcale znaczenia tych jego manewrów.

Przez następnych dni kilkanaście poprzestał pan Ambroży na widywaniu jej tylko z daleka, lub na przypadkowych spotkaniach, a tymczasem układał plan dalszego postępowania, które wymagało nader ostrożnej taktyki. Tyle było względów do zachowania! Najprzód tajemnica przed żoną, która broń Boże, żeby się o czemś dowiedziała; następnie należało mieć na uwadze męża, tego Maćka, przed którym od niejakiego czasu spuszczał oczy mimowolnie, nie mając odwagi spotkać się z jego spojrzeniem.

Ów Maciek, była to wcale niepoczesna figura; od żony niższy może o pół głowy, nosił nadane mu z tego powodu nazwisko Kurty, pod którym więcej był znanym we wsi, niż pod swojem rodowem. Swoją drogą zawadyaka i wielkie ladaco, próżniak; rej wodził po karczmach i weselach, na których wiecznie drużbował. Żonie przeniewierzał się często, za co fizyognomia jego spotykała się regularnie z jej muszkularną rączką, co nie przeszkadzało, że potem następowała najlepsza zgoda; bo kochali się po swojemu, pobrawszy się z przywiązania, którego podobne drobnostki zachwiać nie były w stanie. Magda wiedziała dobrze, że wybryki małżonka były skutkiem nie czego innego, tylko jego wichrowatej natury; zaś przeciwko niej samej, nikt nic złego nie mógł powiedzieć. W gospodarstwie, pomimo niedbalstwa Maćka, wiodło im się nie najgorzej, a to dzięki zapobiegliwości żony.

Wszystkie te okoliczności znane były dobrze panu Ambrożemu, który się jednak niemi nie zrażał, polegając na uniwersalnym środku, znanym jeszcze od czasów mitologicznej Danai, której bóg Olimpu zawrócił główkę,

spuściwszy na nią deszcz złoty. Tego właśnie wypróbowanego środka zamierzał użyć pan Olimpu zwanego Kopytówką, tylko w skromniejszych naturalnie rozmiarach, bo za punkt wyjścia miały tu służyć owe dwie ćwierci jęczmienia pożyczonego Maćkowej na zasiew a dotąd nie odrobionego.

Czuł jednak jak śliskim był grunt, na który się puszczał, i jakiej tu potrzeba było z jego strony pomysłowości. Wyrabiał ją tymczasem w sobie jak mógł, przechodząc pod tym względem prawdziwą szkołę.

Pomimo owych pozorów młodości, stając się z wiekiem coraz ociężalszym, przestał od niejakiego czasu trudnić się bezpośrednio gospodarstwem, zdając wszystko na ekonoma, a osobiście naglądając kiedy niekiedy z amatorstwa — teraz przecież czynił to daleko częściej, już nie z amatorstwa, ale skutkiem z góry powziętego planu. I tak dnia jednego, gdy przy wydeptywaniu końmi w stodole rzepaku, wypadło przenosić ziarno na inne boisko, ażeby przed oddaniem na młynek odciągnąć zeń na przetaku odpadki słomy i stręczyn, pan Ambroży, który wiedząc, że Magda jest między najemnicami, pilnował roboty od samego rana, polecił ekonomowi odkomenderować do tej czynności, którą z zręczniejszych robotnic. Wynikła z tego mała dysputa, w której dziedzic przekonał ekonoma, że nie było zręczniejszej i pilniejszej nad Magdę Graczykową, skutkiem czego ją ostatecznie przeznaczono do roboty, przy której miała pozostać sama jedna na osobnem boisku.

Nie pozostawało tedy panu Ambrożemu jak udać się za nią, ale w tej chwili był zanadto dyplomatą, aby miał okazywać zbyteczny pośpiech, więc pomimo nie-

cierpliwości począł kołować, zaglądać do kątów, w których nie był wcale potrzebny, aż nareszcie tak sobie, niby z niechcenia zaszedł na owo boisko ... nie przeczuwając zgoła, jak miła czekała go tam niespodzianka.

Oto co ujrzał: na środku boiska Magda skrążała na przetaku rzepak, a nad nią stała uzbrojona w parasolkę i w ogromnej pameli na głowie ... jego żona! przy nogach pani, zwinięty w kłębek, spoczywał Bižu, który usłyszawszy kogoś wchodzącego, rzucił się nań najprzód z wielkiem ujadaniem, ale poznawszy pana począł go witać natarczywemi karesami. Gdyby nie żona, byłby go p. Ambroży z wielką chęcią posłał uderzeniem buta aż za wrota boiska, wynagradzając sobie choć w części tą satysfakcyą doznany zawód; ale ponieważ to jakoś nie uchodziło, więc się powściągnął.

Obecność pani Ambrożowej w stodole nie była żadną nadzwyczajnością, bo nieraz przy dniu pogodnym, gdy się czuła wolną od niedyspozycyi, pozwalała sobie udawać się spacerkiem nietylko do gumien, ale nawet w pole, jeżeli gdzie niedaleko była robota; ale tym razem mąż spojrzał na nią podejrzliwie, a uśmiech jakim go powitała, przyjął z niedowierzaniem. Na złodzieju czapka gore. Dyabeł nie śpi ... a nuż się czegoś domyśla? Nie zdawał sobie sprawy, jakim sposobem stać się to mogło, ale dosyć, że miał nieczyste sumienie. Jeszcze też zagadnęła go w sposób dwuznaczny:

„Mąż nie spodziewał się pewno, że mnie tu zastanie.“

Jakby mu z ust wyjęła. Co tu na to odpowiedzieć? Skrzywić się? źle ... roześmiać, chociażby zadając sobie gwałt, kto wie, czy nie gorzej jeszcze, bo mogłoby wy-

glądać na lekceważenie. Najlepiej będzie okazać troskliwość, więc rzekł:

„Ale żonusiu, tu są przeciągi, boisko na wskróś otwarte . . . żeby cię nie zawiało.“

„Gdzież znowu przeciągi, nie ma wcale wiatru. Właśnie korzystałam z tego, żeby wyjść trochę do gospodarstwa . . . ty wiesz mężusiu, jak jestem rada, gdy mogę być ci użyteczną, wyręczyć w pracy . . . Idź, idź, odpocznij sobie, wczoraj nie miałeś czasu przeczytać gazet (cały dzień łaził za Magdą), ja tu popilnuję za ciebie.“

Dobryś! czy licho nadało . . . Miał ochotę powiedzieć, że Magdy nie trzeba pilnować, ale nie mógł wykrztusić.

„No, i nie podziękujesz mi?“ dodała nadstawiając twarz do pocałowania.

Niepodobna było robić trudności, więc pocałował, ale o ile możności na zimno, uważając wszelki objaw zbytecznej czułości w obec Magdy za coś nad wyraz nieprzyzwoitego.

Odszedł z nosem spuszczonym na kwintę, straciwszy taką dobrą sposobność. Jak tu nareszcie zrobić, żeby się porozumieć z Magdą w cztery oczy? Nie było to tak łatwem, jak się na pozór zdawało; w pewnych wypadkach jest rzeczą arcyniewygodną być pierwszą osobą, za którą wszystkie spojrzenia zwracają się jak za słońcem, gdziekolwiek się ruszy. Gdyby, czego Boże broń, jego zachowanie się dało asumpt do plotek, zdradzając tajne zamiary, z któremi się nosił, wtenczas już cała ludność wsi, szczególniej baby, uorganizowałyby się w tajną policyę na usługi jego żony.

Były chwile, że gotów był dać za wygraną, ale zwyciężyła pokusa. Więc raz, gdy myszkując jak zwykle pod pozorem troskliwości o gospodarstwo, zobaczył męża Magdy w stodole pomiędzy młockami i przekonał się, że jej samej nie ma u roboty, zdecydował się na prawdziwy zamach stanu. Przyszedłszy do domu, zawołał chłopca ze wsi, pracującego przy ogrodniku, bo z domowych nikogo nie użyłby do tego celu, i rzekł do niego:

„Ruszaj mi zaraz do chałupy Maćka Graczyka i zawołaj go tu do mnie.“

Gdy zaś chłopak puścił się ku wsi, odwołał go jeszcze i dodał unikając mimowoli jego wzroku:

„A jeżeliby go nie było w domu, to niech chociaż ona przyjdzie . . . tylko duchem, galop! — rozumiesz?“

To powiedziawszy, udał się do swojej kancelaryi, w której zwykł był udzielać posłuchań w sprawach gospodarskich i czekał pełen dziwnego niepokoju. Istotnie na początek i z samej uwagi na miejsce, w którym miało nastąpić spotkanie, nie mogło mu chodzić o nic więcej, jak o nawiązanie dobrych stosunków i skłonienie Magdy do wspólnego obmyślenia środków porozumiewania się w przyszłości. Ale z jakiej beczki z nią zacząć? jak działać? naciskiem czy dobrocią? nie wiedział sam, na co się ostatecznie zdecydować.

Bił się tak z myślami w najlepsze, gdy z sionki poprzedzającej kancelaryę doszedł jego uszu najprzód tupot bosych nóżek stąpających niekoniecznie lekko, a potem lekkie chrząknięcie. Zrazu doznał takiego uczucia, jak gdyby iskra elektryczna przebiegła po nim; potem otworzył drzwi zapytując: „Kto tam?“

„A! to ty“, rzekł następnie zobaczywszy Magdę i wpuszczając ją do kancelaryi, „to dobrze.“

„Wielmożny pan kazał wołać mojego“, zaczęła taż oddawszy zwykły pokłon, „ale go nie masz w chałupie; młóci na pańskiem, więc na to miejsce ja się zebrałam i przychodzę.“

„To bardzo dobrze... hm, hm... Słuchajno Magda“, zagadnął po chwili, robiąc minę surową, „jakże to będzie z tym jęczmieniem, com go wam pożyczył na przednowku... hę?“

„Z jęczmieniem?“ odrzekła Magda, „o jej! ady odrobim wszystko, jak się patrzy, ino niech wielmożny pan będzie jeszcze kruszynę cierpliwy.“

„Cierpliwy, cierpliwy... mnie się zdaje, że tej cierpliwości było już aż zanadto... i długoż to jeszcze ma być tego czekania?“

„O la Boga! toć już nie długo; przedzie chodzimy oboje do roboty, kiej ino nas zawołają; mamy już kwitów za tyla, że jak się zrachuje, to niewiela co będzie brakować. Już niech wielmożny pan będzie tak delikatny i nie napiera na nas.“

Tym słowom towarzyszył giest tak wdzięczny i spojrzenie tak wymowne, że pan Ambroży, który zrazu nie wiedział, jak przystąpić do rzeczy, nagle poczuł wielką determinacyę.

„Widzisz Magda“, odezwał się po chwili, zniżając głos, „hm, hm... trzeba ci wiedzieć, że ja dla ciebie gotów jestem zawsze zrobić to, czegobym dla nikogo na świecie nie zrobił — masz u mnie nietylko kredyt, ale... nawet mógłbym ci darować cały ten dług.“

„A to jak?“ zapytała patrząc nań zdziwionymi oczyma.

„No, tak . . . że nie będę o niego wołał . . . bo widzisz . . . ja cię tak lubię . . “

„Wielmożny pan mnie tak lubi? i bez to inoby mi darował? akurat! przecież ja znowyk nie jestem taka głupia, żeby wielmożny pan kpił sobie ze mnie.“

„Ale ja wcale nie kpię, mówię na prawdę.“

„I tak za nicby pan darował?“

„No, jużci nie za nic . . . musiałbym wiedzieć, że będziesz mi za to wdzięczną.“

„Ady jabym za pana prosiła pana Boga dzień i noc.“

„To swoją drogą . . . ale . . . trzeba jeszcze, żebyś była dla mnie taką . . . żebym . . . był z ciebie kontent.“

„Ho, ho, ho . . .“ rzekła Magda tonem dającym poznać, że się domyśliła o co chodzi, „i jakaż ja to mam być dla pana?“

„Chcesz wiedzieć? . . . . no, to czekaj, ja ci zaraz wytłómaczę . . .“ po tych słowach chciał się przybliżyć do Magdy, ale . . . najprzód napotkał zaporę nie do przebycia w postaci wyciągniętej ręki silnej, sprężystej, nieprzełamanej niby żelazna sztaba, z dłonią ściśniętą w kułak — następnie stracił formalnie głowę, gdy usłyszał nagle z niewielkiej gdzieś odległości szczekanie faworyta żony. Poczciwy Bižu! jak to dobrze, że ma zwyczaj odgrywania roli herolda swojej pani. Jego głos ostrzegł pana Ambrożego przed grożącem mu niebezpieczeństwem.

Odskoczył więc co prędzej od Magdy, ta zaś zapomniawszy o ukłonie należącym się na pożegnanie dziedzicowi, uderzyła we drzwi i sporym krokiem, ale bardzo

zamyślona powróciła do swojej chałupy. Zrazu mąciło jej się w głowie, ale po trochu oswajając się z sytuacyą, przyszła do przekonania, że gdyby miała rozum, mogłaby tak obrócić na swój profit, żeby i wilk był syty i owca cała.

To też przy następnych przelotnych spotkaniach, które jakoś zdarzały się częściej niż przedtem, zdawało się panu Ambrożemu, że czyta w oczach Maćkowej coraz bierniejsze poddanie się biegowi wypadków i to spostrzeżenie napawało go jak najlepszą otuchą. Oczywiście, już od niego tylko zależało przyspieszyć rozwiązanie, jemu pozostawioną była inicyatywa stanowczego kroku.

Sposobności jednak nie nastręczały się jakoś tak, jakby sobie życzył; z niejednej mógł był korzystać, gdyby tak miał ze trzydzieści a chociażby tylko dwadzieścia lat mniej na karku — ale teraz nie mógł w żaden sposób; sam przyznawał się do tego przed sobą po cichu. Raz naprzykład pasła sama jedna bydło gromadzkie na wygonie tuż pod lasem, ale cóż kiedy to było Bóg wie gdzie, aż na samej granicy; iść pieszo, za daleko na jego nogi, który od niejakiego czasu odmówiły mu posłuszeństwo; jechać konno? a cóż zrobi ż koniem? będzie mu zawadzał... więc bryczką? akurat! brać z sobą furmana, żeby plotek narobił? tak źle i tak nie dobrze. Drugim razem spotkanie zdarzało się w miejscu nie tak odległem, ale znowu deszczyk mżył przez cały dzień, a jemu wilgoć tak teraz oddziaływała na płuca, nie mówiąc już o reumatyzmie, że niepodobieństwem było ryzykować się.

Rad nie rad przeto musiał poprzestawać na owych przelotnych spotkaniach, dla ułatwienia których obmyślił sobie bardzo dogodne stanowisko na skraju ogrodu, przy

płocie, po za którym biegła ścieżka do źródła. Tą ścieżką rano i wieczorem chodziła zazwyczaj Magda z wiadrami po wodę, co nastręczało mu łatwość widywania jej a czasem i zamienienia kilka słów, jeżeli nikt nie przeszkodził.

Aż nareszcie trafiła się okoliczność, z której bądź co bądź postanowił korzystać. Na Maćka przypadała właśnie kolej stróżowania we wsi przez noc całą, a to znaczyło, że nie będzie go w chałupie od wieczora aż do świtu; gdyby tak dało się namówić Magdę, żeby przyszła na schadzkę do ogrodu? myśl wyśmienita! Wszystkie oznaki wróżyły noc pogodną, cichą, a że to było na wschodzie księżyca przed samym nowiem, więc obiecywała być i ciemną — rzecz tak pożądana dla złodziei i kochanków! Nikt nie spostrzeże . . . w ogrodzie pełno miejsc ustronnych, zarośli . . . Pozoztawało więc tylko znaleźć sposobność rozmówienia się z Magdą, aby ją skłonić do zgodzenia się na propozycyę.

Szczęście mu sprzyjało, bo zaledwie zajął miejsce na zwykłem stanowisku, wnet ukazała się i ona, a że w bliskości nie było nikogo, więc w lot skorzystał z niego.

„Magda!“ rzekł prędko, skoro się zbliżyła, „twój mąż dziś na stróży, przyjdź w nocy do ogrodu.“

„A to po co?“ zapytała, przystanąwszy z wiadrami i pokazując w półuśmiechu białe zęby.

„Mam ci powiedzieć coś bardzo dobrego.“

„Ja ta nie ciekawa tych dobrości.“

„No, nie pożałujesz jak przyjdziesz, zobaczysz“, mówił, oglądając się niespokojnie.

„A to niech pan gada tutaj, kiej pan ma gadać“, rzekła tonem świadczącym o spoufaleniu się z dziedzicem.

„Tu nie można“, odrzekł. „Patrz, idzie Majchrowa, nie trzeba, żeby nas widziała.“

Magda zabierała się do odejścia.

„No, przyjdziesz?“ mówił natarczywie.

Zdawała się namyślać, nareszcie uśmiechnęła się jakoś figlarnie i rzekła:

„Co ja tu mam przychodzić.... Abo to pan nie wie, gdzie nasza chałupa...“

I po tych słowach zniknęła na zakręcie, nie spojrzawszy nań nawet.

Rendez vous w chałupie! masz do dyabła.... na to nie był przygotowanym, o takiem ustępstwie z jej strony nie marzył wcale. Ciekawa rzecz, coby jej było szkodziło przyjść samej do niego, do ogrodu? Pomimo całej niecierpliwości, z jaką pożądał schadzki, wydawało mu się grubo niewłaściwem, żeby on, dziedzic, skradał się do chłopskiego mieszkania w nocy, pokryjomu, jak jaki złodziej... fe!... Spotkać się w ogrodzie, to zupełnie co innego, ale chodzić po chałupach!... Gdyby go tak kto zobaczył!...

Z drugiej strony miało to wszystko dla niego jakiś tajemniczy urok... przenosiło w lata młodości... przypominało podobne awanturki z czasów jeszcze kawalerskich... a ta Magda, w skutek jego nalegań, wpuszczająca go do swojego mieszkania, wydawała mu się stokroć jeszcze ponętniejszą... Zresztą, wszystko to dowodzi, że jest zwyciężoną i że pozbyła się ostatnich skrupułów.

Nie korzystać z tego, byłoby już chyba zupełnem skwitowaniem z żywionych tak dawno zamiarów.

Gdy w ten sposób walczył sam z sobą, gotując się do tak wielkiego przeniewierstwa swoim obowiązkom małżeńskim, starał się tymczasem być pełnym czułości dla żonusi i dotrzymywać jej kompanii do ostatka, co ją mocno zdziwiło, bo przyzwyczaił ją był już dawno do tego, że zaraz po herbacie zaczynał chrapać sobie w najlepsze. Dziś ją przetrzymał, bo pierwsza powiedziała mu dobranoc. Nareszcie, gdy się już uciszyło wszystko we dworze, pomimo ziewania, które go napadało, poszedł powiedziawszy sobie: „co będzie, to będzie!“

W pół drogi, którą odbywał z wszelką ostrożnością, utykając co krok z powodu ciemnej nocy, zaleciał go jakiś niedobry wiaterek, ale był tak zacietrzewiony, że mniej uważał na to; mruknął tylko: „za lekko się wybrałem“, i podniósł kołnierz paltota.

Nim dojdzie na miejsce, my zajrzymy tymczasem do Graczykowej chałupy. Tam wszystko odbywało się podług porządku przyjętego codzień; nie naruszało go nawet to, że Maciek udawał się na nocną stróżę, bo on często wychodził po nocy, to z wolcami ukradkowo na łąkę pańską lub którego z sąsiadów, to na jakąś tajemniczą wyprawę, z której wracał z wiązką słomy lub jakiej paszy, albo kawałkiem drewna na ogień dla Magdy, to znów z pękiem laskowych prętów na obręcze, lipowem łykiem na powrozy, słowem, co się dało. Należał do tych, którzy kupowanie podobnych rzeczy uważaliby za grzech. Dziś, że to była jego kolejka, szedł stróżować, ale nie bez myśli poszukania, czy się nie da co wynaleść dla siebie. No, jużci obcemu złodziejowi, albo jakiemu podejrzanemu

włóczędze z pewnością nie daruje — ale żeby miał robić skrupuł w przyswojeniu sobie czegoś z tego, co z woli Boskiej rośnie i dojrzewa dla wspólnego wszystkich użytku, to się na nim nie pokaże.

Otóż Maciek zjadłszy kolacyę zarzucił na siebie sukmanę i wziąwszy kij w rękę, wyszedł. Magda uśpiwszy dzieci — a miała bębnów dwoje — ściągnęła z głowy chustkę, strzepnęła ją i cisnęła na skrzynię; potem usiadła przykucnąwszy u komina i zaczęła w zamyśleniu zgarniać popiół na zarzewie, które miało się tlić przez całą noc, ażeby do jutrzejszego śniadania nie potrzeba było szukać ognia.

Jeżeli jej przychodził na myśl dziedzic i jego dzisiejsza propozycya, to nie przypuszczała ani na chwilę, żeby jej odpowiedź mogła była przez niego być wziętą na seryo. Gdzieżby on miał przychodzić aż tu do niej! Wszakże ona powiedziała to tylko dla tego, żeby go zbyć delikatnie, nie odstręczając jednak zupełnie. Bo nie myślę wcale robić z Magdy istoty jakiejś idealnej. Była najlepszą, jaką być mogła na swojem stanowisku, ale jej wyobrażenia o moralności, o tem, co się godzi a co nie godzi, musiały koniecznie być właściwemi pojęciom sfery, w której się obracała. Nie jej wina, jeżeli były chwiejne; na ich ustalenie potrzebaby było innych wpływów. Dosyć na nią, że pomimo takich pokus chciała zostać wierną mężowi, zwłaszcza, gdy zważymy, że on sam ze swojej strony nie rządził się w tej kwestyi zbyt przesadzonemi skrupułami, cóż więc jej się dziwić, jeżeli nie była od tego, aby słabość pana namawiającego ją do złego wyzyskać materyalnie. W jej przekonaniu należało się jej to sprawiedliwie; nie działa się przez to krzywda nikomu.

Przyjąć od niego od czasu do czasu jakiś podarunek, czemu nie? o jej! ma on aż nadto dla siebie, nie zuboży się przez to, a dla niej przy jej kłopotach gospodarskich znaczyło to tyle! Za to, jak się uśmiechnie do niego ładnie, to będzie miał dosyć — ale przyjmować go u siebie w chałupie? albo nawet chodzić na jakieś schadzki do pańskiego ogrodu? jeszcze czego! Jezu! gdzieżby ona się miała zgodzić na takie głupstwo. O męża nie chodziło jej nawet tak dalece; potrafiłaby mu zamydlić oczy, a wiedziała, że na to, coby mu pozwoliła widzieć, byłby cicho, żeby aby tylko mógł próżnować i mieć za co hulać — ale ludzie! adyć ona nie śmiałaby się pokazać na wsi, gdyby się takie rzeczy miały wydać.

Gdy tak sobie rozmyślała przed kominem, grzebiąc w popiele i zacząwszy mruczyć pacierz, dało się słyszeć najprzód zdaleka, a potem coraz bliżej szczekanie jakiegoś psa, tak jakby ten gonił coś lub kogoś, potem zaś prędkie lecz ostrożne skrzypnięcie drzwi prowadzących z sieni do izby. Zdziwiło to Magdę, a ponieważ w izbie było tak ciemno, że nie mogła dojrzeć przybysza, więc zerwała się na nogi i krzyknęła:

„Kto tu?“

„Cicho!“ rzekł przytłumionym i drżącym głosem pan Ambroży, „to ja.“

„Kto?“

„Ja, pan. Ale ciszej, bój się Boga, bo kto usłyszy: wszak tu przez ścianę mieszkają ludzie.“

Magda zlękła się ogromnie.

„Co pan zrobił najlepszego!“ zawołała żywo szeptem „niech pan idzie ztąd zaraz!“

„Nie kazałaś mi przyjść?“ rzekł pan Ambroży tłumiąc kaszel, którego dostał przez drogę.

„La Boga! to pan myślał, że ja tak na prawdę mówiłam...“

„Co! żarty ze mnie!“ zawołał na dobre urażony, bo zaczynał czuć całą śmieszność swojego położenia.

„Ady ja prędzejbym się śmierci spodziewała, niż że pan takie głupstwo... to dopiero!“

„Rób sobie co chcesz, ja ci się ztąd nie ruszę“, odezwał się na to z determinacyą, na którą trzeba było się zdobyć koniecznie, chcąc wyjść z fałszywej pozycyi.

„O mój Boże, mój Boże“, lamentowała Magda, „co ja teraz pocznę biedna sierota....“

„Czegoż ty znów beczysz“, zawołał pan Ambroży, usiłując pochwycić jej rękę.

„Niech mi pan da spokój; ja nie potrzebuję“, odrzekła, podnosząc głos i wyrywając mu się.

„Cicho bądź!“ mówił, zaczynając tracić głowę; ale nie było czasu na dalsze deliberacye, bo w tej chwili dał się słyszeć głos Maćka, mówiącego do psa, który odprowadziwszy pana Ambrożego, pozostał widocznie węsząc koło chałupy — a zaraz potem i on sam wszedł do izby, dawszy zaledwie czas dziedzicowi do wciśnięcia się w jakiś kąt.

„A czego ty tu przyszedł?“ rzekła Magda, oprzytomniawszy w jednej chwili, chociaż nie bez pewnego bicia serca, ponieważ nie wiedziała, co męża sprowadziło, „tak to stróżujesz?“

„Nie wiesz ty, co to gonił Kruczek Koziców aż do naszej chałupy?“ zagadnął Maciek nie odpowiadając na jej pytanie.

„Po coś przyszedł? słyszysz?“

„Słuchajno, gdzie to siekiera?“ rzekł, macając koło komina.

„A tobie co po siekierze?“ zawołała przelękniona mimowolnie.

Przyszła jej obawa, czy czasem Maciek nie widział dziedzica wchodzącego do chałupy i nie chce zrobić jakiej awantury. Na to przypuszczenie struchlała. Przez głowę pana Ambrożego przeleciała podobnaż myśl z tą różnicą, że niezwykłość położenia przyoblekła ją w fantastyczne kształty. A nuż ten cham ma ochotę go zabić? wszak to nic niepodobnego; małoż to naczytał się w gazetach opowiadań o podobnych zbrodniach? rozgorączkowana wyobraźnia przedstawiała mu obrazy pełne tragicznej grozy. Zresztą chociażby do tego nie przyszło? zamordowaćby się może nie dał tak łatwo; ma przy sobie kastet, który zawsze zwykł nosić w kieszeni . . . będzie się bronił rozpaczliwie.

Ale zawsze to by go zaplątało w sprawę kryminalną, której następstwem byłoby śledztwo, sądy, badanie świadków; rozgłos skandaliczny! nareszcie, jakby tu się przyszło wylegitymować z swojej obecności w tej chałupie nocną porą? . . . mógłby wprawdzie powiedzieć, że Kruczek go tu zapędził . . . ale któżby wziął na seryo takie tłumaczenie się? . . . pierwsza własna żona nie uwierzyłaby temu . . . Na wspomnienie żony zimny pot wystąpił mu na czoło . . . Położenie było rozpaczliwe . . . koniec mógł być fatalny.

No, ale miałże czekać tego końca? zdrowy rozum powiedział mu, że byłoby to ostatniem głupstwem. Skut-

kiem tego w jednej chwili powziął postanowienie, którego wykonanie nastąpiło w ślad za tem.

Maciek po wejściu nie zamknął dla siebie drzwi od sieni; pan Ambroży był tego pewnym, bo skrzypnęły raz tylko — nie widział ich pociemku, ale miarkował mniej więcej, w której stronie się znajdują. Otóż, gdy mąż Magdy w przeciwnej stronie izby szukał siekiery, on przyczołgał się do tych drzwi na czworakach, bo bał się, żeby przechodząc naprzeciwko okna nie został dostrzeżonym pomimo ciemności.

Czołgając się, myślał tylko o tem, żeby się jaknajprędzej dostać do sieni, a nie odetchnął, aż dopiero, gdy się znalazł przed chałupą. Tu nie uważając na osłabienie w nogach i zaparcie oddechu, którego paroksyzm napadł go podczas tej wyprawy, puścił się na przełaj przez ogrody do domu. Co się tam mogło dziać po jego odejściu pomiędzy Maćkiem i jego żoną, mało go już obchodziło; ta kobieta zbrzydła mu w jednej chwili tak, że patrzećby na nią nie mógł teraz .... Całem jego pragnieniem było zatarcie wszelkich śladów swojej bytności w jej przeklętej chałupie.

. . . .

Nazajutrz leżał w łóżku prawie do południa, bo czuł się niezdrów. Zaledwie wstał, zobaczył ekonoma, który przyszedł, trzymając w ręku jakąś siekierę.

„Cóż to za siekiera?“ zapytał pan Ambroży.

„A to, proszę pana dziedzica, ten hultaj Maciek Kurta dziś w nocy miał stróżować we wsi, tymczasem złapaliśmy go za gumnem, jak rąbał nasze krokwie, te, co to mają być na szopę ... więc zabrało mu się siekierę.“

„A! huncfot!“ zawołał dziedzic zirytowany, a w myśli dodał: Więc to po to jej szukał . . . o! gdybym był wiedział! i znowu głośno: „zabrać! schować! nie oddawać, póki za to nie odrobi.“

„Ja też to samo powiedziałem jego żonie“, rzekł ekonom, „bo ona sama tu przyszła po tę siekierę i napiera się gwałtem, żeby ją puścić do pana dziedzica . . .“

„Jakto! przyszła tu?“ bąknął pan Ambroży zdekoncertowany, „no, to jej oddać, a niech sobie idzie do dyabła.“

„Pan dziedzic każe oddać?“

„Oddać, mówię . . . tegoby jeszcze trzeba, żebym miał kramarzyć się z babą . . . wpiszę jej to na dług i kwita.“

I wpisał istotnie, ażeby zrobić sobie jakąkolwiek satysfakcyę, ale też na tej satysfakcyi rad nie rad musiał poprzestać. Nietylko nie odebrał długu, ale przybywały raz po raz inne, których nie śmiał egzekwować.

Tak się skończyła pierwsza i ostatnia próba emancypacyi pana Ambrożego, który uważał to sobie już za wielkie szczęście, że jego żona nie dowiedziała się, ile wdzięczności winna była Magdzie.

Starał się ile możności, żeby to pozostało wieczną dla niej tajemnicą.

IV.
Któż jej winien?

Przy stole zastawionym przyborami do śniadania złożonego z kawy i herbaty z zimnem mięsiwem siedziała w powabnym negliżu majestatyczna pani Bombelska, przekwitająca, lecz nie przekwitła jeszcze zupełnie piękność, dobiegająca piątego krzyżyka. Piła herbatę całkiem czystą, bez śmietanki a nawet bez cukru, co uważała za nader skuteczny środek przeciwko zbytecznemu tyciu.

Z drugiej strony stołu vis-à-vis tej pani siedział przy szklance kawy z miną wielce znudzoną, którą starał się maskować przymuszonym uśmiechem — w eleganckim szlafroku piękny Trezorek.

Jakto! Trezorek siedział przy stole naprzeciwko swojej pani i pił kawę?

A nie inaczej! Aha! panie myślałyście zapewne, że to był piesek? bardzo przepraszam: to był p. Bombelski, dwudziestoczteroletni małżonek majestatycznej pani i szczęśliwy posiadacz jej przekwitających wdzięków.

Jakże się to stać mogło?

Sposobem bardzo prostym. Pani Bombelska niegdyś słynna piękność, przeżyła już dwóch mężów, z którymi o tyle była szczęśliwą, o ile po każdym z nich, skutkiem zapisów, odziedziczyła gruby majątek. Nie idzie za tem, aby czuła się zadowoloną i aby w jej dziewiczem dotychczas sercu nie było próżni, którą pragnęła zapełnić. Cóż więc dziwnego, że posiadając środki, zapragnęła teraz zrobić coś dla tego biednego serca, które żyło do tej

pory tylko poświęceniem, i uczynić zadosyć niezaspokojonym pragnieniom?

Była panią swojej woli w całem znaczeniu tego wyrazu, gdy on znalazł się na jej drodze.

On, to był Trezorek.

Właściwie nie nazywał się wtenczas jeszcze Trezorkiem, tylko poprostu Guciem — nadała mu dopiero to miano kobieta żądna miłości, dla której stał się prawdziwym skarbem.

Skarbem, o który drżała bojąc się go utracić, to też strzegła go, jak oka w głowie i pielęgnowała, jak gdyby był egzotyczną rośliną.

Otóż ten skarb pielęgnowany był w chwili, gdy go poznajemy, nierad czegoś oczywiście, bo skrzywiona jego twarz wyrażała niezadowolenie.

Niezadowolenie, czy też jaki ból tajony może? na to przypuszczenie pani Bombelska zadrżała i spojrzała na Trezorka.

Siedział on w ponurem milczeniu, nie tykając kawy, tylko mieszając ją machinalnie łyżeczką bez względu na prześliczny kożuszek, który zjadać zwykł był zazwyczaj na samym początku z wielkiem nabożeństwem.

Pani Bombelska była coraz to więcej niespokojną.

„Trezorku drogi, co tobie dziś jest?“ zagadnęła nareszcie, „dla czego nie pijesz kawy? ostygnie ci.“

„Nie mam apetytu“, odrzekł spoglądając melancholicznie na rozbity łyżeczką kożuszek.

„Nie masz apetytu!“ krzyknęła, „toś ty chory!!“

„Chory“, potwierdził ponuro.

„Guciuniu mój! Trezorku! nie strasz mnie; wczoraj jeszcze byłeś taki wesół, zdrów ... może to tylko ima-

ginacya... spróbuj! wypij choć z pół szklanki, ty tak lubisz kawę."

„Nie kuś mnie", bąknął niepewnym głosem (żal mu było kawy), „to mi może zaszkodzić."

„Ale nie zaszkodzi! nie! wypij.... jak mnie kochasz."

Na to zaklęcie Trezorek zmiękł i robiąc niby poświęcenie, zabrał się do kawy; zjadł najprzód kożuszek, potem wypił trochę, potem więcej, nareszcie i wszystko, nie zostawiwszy w szklance nic, oprócz resztek ciastka drożdżowego, które także całe skonsumował.

Po kawie zapalił papierosa, a gdy z tego został już tylko popiół, przywołał znowu na twarz wyraz cierpienia, a po pewnej chwili rzekł z jakimś dziwnym akcentem w głosie:

„Zabiłaś mnie tą kawą."

„Ja! ciebie!..."

„Czuję, że mi potrzebna najściślejsza dyeta."

„Trezorku!"

„Bardzo mi nie dobrze.... widocznie mam raka w żołądku."

„Raka! ach, połóż się, połóż!" jęknęła strwożona małżonka, przywołując służącą, której poleciła rozebrać łóżko i pobiedz do doktora.

. . . .

Całe dwa tygodnie już leżał biedny Trezorek w łóżku... mówię: biedny nie z powodu jego choroby, bo był zdrów jak ryba, ale dla tego, że zaczynało mu się już przykrzyć udawać chorego i znosić przymusową dyetę; lubo żona starała się osładzać mu ją bulionami, jajami na miękko, a nawet kotlecikami, które zjadał jako zgwał-

cony niby, w sekrecie przed lekarzami. Wobec tych ostatnich okazywał pomysłowość zaiste genialną, nie wyczerpany w wynajdywaniu symptomatów, z którymi nie mogli się połapać w żaden sposób. Krzyczał jak opętany przy oględzinach, nie dając się dotykać i symulując bóle, których jednak określić jasno nie umiał. Cierpiał w sposób tajemniczy, ale w takim stopniu, że fakultet medyczny skonstatował nareszcie istnienie pewnego złośliwego nowotworu w okolicach żołądka z wszelkiemi cechami raka.

Nie przypuszczając żeby udawał, zgodzili się lekarze pomiędzy sobą na jedno, że nie wiedzą co to jest — ale nie chcąc przyznać się do nieświadomości, oświadczyli małżonce, każdy z osobna, że jej mąż jest bardzo chory i że żadne zwyczajne środki nie pomogą mu.

Trezorek skazanym został na śmierć przedwczesną — ale radzono przedtem jeszcze sprobować Karlsbadu.

Gdy wyrok ten wyczytał z oczu zdesperowanej żony (która wszelkiemi siłami odganiała napastującą ją mimowolnie myśl o czwartym mężu), uspokoił się, jakby cudem.

Potem zażądał papieru, pióra i podkładki, żeby mu było wygodniej pisać w łóżku.

„Myśli o wierszach pożegnalnych dla mnie“, powiedziała sobie żona, „biedny, drogi mój Trezorek! to będzie jego śpiew łabędzi.“

Bo pani Bombelska uważała męża za poetę — i miała do tego wszelkie prawo. Wszakże jeszcze gdy starał się o nią, wydrukował był w pewnem pismie codziennem bardzo piękną szaradę złożoną z ośmiu wierszy, których początkowe głoski tworzyły akrostyk z jej imie-

nia — tylko, że z Rozalii zrobił Rozalinę — a czyż to nie było wielce poetycznem?

Ciekawość ją paliła, co też jej teraz napisze — tem więcej, że Trezorek przez cały dzień zachowywał się bardzo tajemniczo; pisał i mazał, żądał więcej papieru, aż nareszcie zmęczony usnął (nie ręczę czy na prawdę) zostawiwszy zapisany papier na stoliku przy łóżku.

Czyż trzeba mówić, że pani Rozalina, zapewniwszy się, iż śpi twardo, wzięła papier i przeczytała to, co na nim było napisane?

Był to brulion testamentu.

Testamentu? a to ciekawa rzecz, co Trezorek mógł komu zapisać — chyba żonę.

Otóż właśnie, że mógł, i to więcej niż żonę, bo niedawno spadła była nań sukcesya po jakimś stryju czy imienniku bezdzietnym, który zapisał mu na własność wioskę Mokre dołki. To tylko, że ten stryj czy imiennik pozostawiał żonę, kobietkę pełną życia, młodszą o rok od Trezorka, i tę uczynił dożywotnią posiadaczką Mokrych dołków. Trezorek więc został dziedzicem tylko tytularnym, ale był w zupełnem prawie przekazać ów tytuł komu chciał.

Przekazywał go żonie. Było ty niby nic, ale bądź co bądź dowodziło jego dobrego serca i przywiązania małżeńskiego.

Pani Bombelska rozpłakała się z rozczulenia.

. . . .

Nazajutrz rozgrywała się ciekawa scena pomiędzy małżeństwem. Trezorek był milczący, spoglądał z pod oka na żonę, poprawiał, kreślił jeszcze coś na swoim papierze, ale nie dawał się słyszeć z żadnem słówkiem,

któreby miało jakikolwiek związek z jego tajemniczą robotą. O cierpieniach nie było także już wcale mowy. Przeminęły... albo też może zaprzątnięty czem innem, nie myślał o nich.

Małżonka pogrążoną była także w marzeniach i milczącą... tylko raz po raz zbliżała się do łoża swojego skarbu, spoglądając czule w jego oczy.

W powietrzu było coś!... wisiała jakaś niespodzianka.

Nareszcie popołudniu pani Bombelska rozpoczęła akcyę.

„Mój drogi", rzekła z jakąś dziwną stanowczością w głosie, „musimy pomówić z sobą w ważnej sprawie."

„Słucham", odrzekł Trezorek nadstawiając uszu.

„Ty masz majątek swój własny, tak samo jak ja (co za delikatność z jej strony!) te majątki powinny być nasze wspólne.... ale prawnie tak nie jest.... Co gorsza, ty ze swojego nie tak prędko będziesz mógł użytkować (chyba na jozafatowej dolinie — pomyślał Trezorek).... Dzieci nie mamy i nie wiem, czy mieć będziemy... (tu oboje spuścili oczy zaambarasowani)... Gdybym ja pierwsza umarła..."

Mąż przerwał jej giestem, w którym było przeczenie pełne rezygnacyi.

„Gdzież znowu!" rzekł i zwiesił głowę.

„Żyj, żyj mój skarbie!" zawołała żona rzucając się w objęcia męża, „ja tego tylko pragnę!"

„Życie ludzkie jest w ręku Boga", odparł sentencyonalnie.

„Właśnie! nikt nie wie swojego dnia ani godziny, więc...", zawahała się na chwilę, szukając słów na wyrażenie tego, co myślała.

Trezorek nadstawił znowu uszu.

„Powzięłam pewne postanowienie, które niewiem czy zyska twoją aprobatę . . . . ale chcesz czy niechcesz, tak się stać musi.“

„Cóż to takiego?“ zapytał mąż patrząc jej w oczy, „wiesz, że jestem ci zawsze i we wszystkiem posłuszny.“

„Oto chcę zapisać na twoje imię mój majątek . . .“

Oczy Trezorka zabłysły, ale zdobył się na heroiczny wykrzyknik:

„Nigdy! nie myśl, żebym . . . .“, nie mógł mówić dalej, bo małżonka zatkała mu usta tłustą i spoconą rączką.

„Cicho być!“ szczebiotała pieszczotliwie, „słuchać i nic nie mówić. Tak będzie, jak ja sobie życzę.“

„Więc postanowiłaś nieodmiennie?“

„Tak jest. Zamówiłam już rejenta, którego tylko co patrzeć.“

„Rozalino!“ zawołał z wyrzutem . . . ale znowu nie dała mu mówić. Dopiero po pewnej chwili, gdy uspokoiły się te uniesienia, rzekł cichym, ale stanowczym głosem:

„Dobrze więc! stanie się jak sobie życzysz — ale pozwólże i mnie mieć swoją wolę.“

Rozalina uśmiechnęła się filuternie.

„Bo i ja także powziąłem postanowienie“, mówił dalej, „tylko, widząc, żeś mnie uprzedziła, jestem w kłopocie, jak ci o tem powiedzieć . . .“

„Wiem: wiem już wszystko, skarbie mój!“ zawołała małżonka, tuląc go w swoich ramionach, niby w żelaznych. „Wykradłam ci twoją tajemnicę . . . wiem wszystko!“

. . . .

Wzajemnego rozczulenia i uniesień, przerwanych wejściem oczekiwanego rejenta, opisywać nie będę — moje pióro na to za słabe.

Postanowiono zeznać akt zobopólnej darowizny na przeżycie, który też zaraz zredagowanym został urzędownie i podpisanym w obec świadków wyłączeniu prawnemu nie podlegających.

. . . .

To już na tem koniec? — Trezorek wyzdrowiał. — Tegośmy się spodziewali, ale cóż się stało dalej? — Rozpuścił się jak bicz dziadowski; prowadzi romanse pod nosem żony. — A ona co na to? — Cóż ma robić? gryzie się, płacze po całych dniach, tak że tylko cień z niej został i z pewnością długo nie pociągnie. — Biedna Rozalina! — No, że biedna, to biedna . . . ale któż jej winien? jak sobie kto pościele, tak się wyśpi; potrzebny jej był na starość trzeci mąż?

Co za szkoda!

(Fantasmagorya.)

....Byłem zgryziony i rozdrażniony do najwyższego stopnia, cały świat przedstawiał mi się w czarnych kolorach chociaż to była wesoła pora majowa i słońce świeciło prześlicznie.

Ale któż w mojem położeniu mógłby się zachwycać tym Majem? bo proszę tylko posłuchać:

Przed paru laty, w skutek familijnych układów przyszedłem do własności mająteczku na Podolu Galicyjskiem, wielce jak mi się zdawało obiecującego, ale obecnie tak opuszczonego, że trzeba było takiego romantyka jak ja, żeby widział w tem dobry interes. Zresztą interes może i był, ale wymagał włożenia grubych pieniędzy, tymczasem mnie owe układy wyszlamowały kieszeń do czysta; wprawdzie wypłaciwszy wszystko, co się odemnie należało, i zyskawszy prawo do majątku zupełnie wolnego od długów, rachowałem na kredyt, ale . . . tu właśnie jądro wszystkiego złego.

Jest u nas przysłowie, nad którem się w tej chwili zastanawiałem; „kochajmy się jak bracia, a drzyjmy się

jak żydzi", co tłómacząc na zwykły język znaczy: „naśladujmy żydów, którzy nie rządzą się sercem w interesach i dlatego robią pieniądze." Tak, ale to łatwo radzić, a trudniej wykonać: jakże się tu z familią rachować tak już nieustępnie, albo co gorzej wodzić po sądach, kiedy to trzeba rozmaite względy mieć na uwadze. Oto ten n. p. ma kilkoro dzieci, których edukacya niemało kosztuje, gdy ja mam tylko jedno i zdaje się, że więcej nie będzie, więc jakoś człek prędzej sobie da radę; tamten znowu, pomimo że mu przypadł lepszy udział, jest w długach po uszy! — pilnować się bezwzględnie litery prawa byłoby to zanurzyć go w tej przepaści jeszcze głębiej; trzeci nareszcie . . . o tym trzecim wolałbym nie mówić: wyeksploatował mnie co prawda, ale mamże już koniecznie odpłacić mu tą samą monetą? oko za oko, ząb za ząb? to nie po chrześciańsku. Zresztą, w podobnym razie, gdy człowiek czuje się niesłusznie pokrzywdzonym, pozostaje zawsze pewna kompensata moralna: tylko niskie charaktery wyzyskują egoistycznie takie położenie.

No, ale koniec końców, skutkiem ustępstw, jakie robiłem przy owych układach familijnych, znalazłem się w fatalnej sytuacyi: oczekując ciągle na uregulowanie hipoteki i podniesienie przynależnej mi pożyczki Towarzystwa kredytowego, pomimo dopełnienia z mojej strony wszystkiego, co do mnie należało, miałem majątek zamazany po dawnemu; więc pozbawiony kredytu, zacząłem się szargać, włażąc coraz więcej w tak zwane parszywe to jest żydowskie długi. Któż nie zna tej plagi dziesiątkującej naszych rolników, którzy chcąc nie chcąc stają się białymi murzynami brodatych eksploatorów? Obrońcy wolnego geszeftu twierdzą, że te rzekome ofiary same

sobie są winne: ani słowa, że i takich nie brak — ale jeżeli znajdzie się ktoś tyle nierozsądny, że wlazłszy w kałużę stoi w niej tak długo, aż go obsiądą pijawki, to te ostatnie nie tracą przez to charakteru istot pasożytnych, żywiących się cudzą krwią i potem.

Otóż takie pijawki poobsiadały i mnie, ponieważ rad nie rad wlazłem w błoto. Oganiałem się od nich jak mogłem, płaciłem haracz, tu brałem tam oddawałem, bawiłem się w szubieniczkę, ale przy każdem braniu cyfra długu się powiększała, a przy mazaniu ani myślała się zmniejszać, więc ciągle przybywało długów. Pomiędzy temi pijawkami były rozmaite: jedne więcej, drugie mniej krwiożercze, jedne łagodne, drugie okrutne, ale ponieważ wszystkie z równem nabożeństwem modliły się do jednego i tego samego bóstwa, zwanego procent czyli geszeft, więc na tym punkcie zarówno były nieugiętemi i każda na swój sposób dawała mi się we znaki. Jeszcze czasem wolałem mieć do czynienia z egzemplarzem drapieżnym, bo ponieważ ów czczony przez nich bożek wymaga zaparcia się tego wszystkiego, co zwyczajni ludzie rządzący się uczuciem i honorem mają na pierwszym względzie, więc za skromną stosunkowo opłatą mogłem przynajmniej nieraz wyburzyć się i wyszumieć, co mi robiło ulgę, a czasem nawet w cztery oczy bez świadków wziąść się n. p. do kija. Niekiedy, znając moje usposobienie, wywoływano u mnie podobne porywy: a ci właśnie panowie, rozstawali się ze mną w najlepszej komitywie, dostawszy „za drogę“ (o uszczerbku na honorze nie bywało wcale mowy) jaką ćwierć zboża albo gęś na święta.

Przestałem nareszcie bywać w miasteczkach i chyba już ostatnia konieczność zapędziła mnie na jarmark albo

targ — a każdą taką bytność niemal odchorowałem, tyle mi to robiło nieprzyjemności; ale bo jakże tu było zachować zimną krew. Zajeżdżam i wysiadam dajmy na to w miejscowej jadłodajni; spojrzę przez okno: po rynku przechadzają się w chałatach a niekiedy i w szlafrokach jakby u siebie w domu, wyznawcy bożka Geszefta, niby jakieś istoty uprzywilejowane niepotrzebujące pracować, lecz na których utrzymanie powinna była składać się ta część ludności, która z powodu ciężkich obowiązków niema czasu na takie spacery. Czyż to człowieka nie drażni? Snują się poważnym krokiem, paląc fajki i głaszcząc brody, niekiedy łączą się po dwóch i po trzech bawiąc się rozmową, wśród której słychać co chwila „geszeft.“ Szczęśliwe bóstwo, które ma tak gorących wyznawców!

Ledwo krokiem wyjdę na miasto, przybliża się jeden, drugi i dziesiąty. Bóg widzi, że większa część odebrała już dawno to, co im się sumiennie należało; to zaś, co pozostawałem dłużnym było z mojej strony tylko przymusową ofiarą na ołtarzu ich kultu; jednych termin co prawda już minął, ale niektórych jeszcze nie nadszedł, pomimo to każdy zaczyna rozmowę od wyrazów: jak będzie z nami? — a potem: czy pan co przywiózł dziś? — albo: czy pan zapłaci na termin?

Rzeczywiście trzeba bardzo panować nad sobą, żeby znosić filozoficznie te dokuczliwe ukłucia, to też chroniłem się przed niemi ile możności.

Ale i w domu nie miałem spokoju, nasyłano mi listy albo odwiedzano od czasu do czasu osobiście i . . . rzecz dziwna: ci panowie, którzy u siebie mogli swobodnie spacerować w szlafrokach po całych dniach, na przyjazd do mnie wybierali czas najdroższy, którego każdą chwilę

cenili nader wysoko, tak, że musiałem płacić zawsze za „stratę czasu.“ Listy otrzymywane od nich zbierałem do użytku redakcyi pism humorystycznych; mnie samego nie rozśmieszały one bynajmniej, pomimo wielu do tego kwalifikacyj.

Oto właśnie jeden z nich, z podpisem pana Szai Wucherman, odebrany przed tygodniem a główny powód mojej dzisiejszej irytacji. Brzmiał on jak następuje:

Wielmozne P. D.

Obiecal p. d. pieniendzi poslacz do konca kwietnia a drzis iuz mami 1 Maja i nie widacz a ja koniecne poczebuje bo teraz przednowem to poczebuje na handel wjenc prose do wtorku zebe p. d. bul laskawi i odeslacz nalezitośc bo wience czekacz nie moge a jezeli p. d. nie odesle to bede musal skarzic i bede muszoni weksla po slacz do adwukata i bedzie panem stydu narobycz padam do nuk i zice wesole Maja.

Szaja Wucherman.

No, i on mi życzy wesołego maja w liście, którym zapowiada protest wekslu! nie jestże to naigrawaniem się? ah! ten Wucherman, co on mi już krwi napsuł! wziąłem od niego przed dwoma laty sto korcy owsa do siewu, za który zostałem winien 300 reńskich; spłaciłem już 200, ale to poszło na procenta, a dług długiem jak był tak jest całkowity, i jeszcze musiałem wystawić weksel?

Nie mogąc w tej chwili zapłacić, a nie mając ochoty jechać do pana Szai, użyłem pośrednictwa obywatela tegoż samego miasteczka, a brata mojego arendarza, Borucha Ires, znajdującego się właśnie w owej chwili przypadkiem w karczmie, zkąd przyszedł do mnie niby z odwiedzinami, a właściwie, żeby się czegoś dowiedzieć, bo był wtajemni-

czony w ten interes. Sam on nie miał teraz pieniędzy (tak mi się zaklął), ale zobligowany przezemnie (dostał za to koguta) odjeżdżając przyrzekł najsolenniej, że tegoż dnia jeszcze będzie się widział ze swoim krewnym Mendlem Flajszerem. Ten Mendel z pewnością załatwi interes Wuchermana, albo skłoniwszy go do układów, albo też dawszy mu tymczasem choć ze sto reńskich na mój rachunek, co powinien koniecznie zrobić, bo niedawno oddałem mu resztę należności, którą mu byłem winien, co do centa z grubym procentem. Z tem odjechał.

Tegoż dnia jeszcze późnym wieczorem, przez wracającego z miasteczka arendarza otrzymałem następującą karteczkę od jego brata:

„To co pan iz zemnę dziszei gadał z tem interesę cos mnie gadali daje w. pana odpis jak mi p. Proszyl gadalim iz P. Fleiszerem gadal jak pan sam bedzy w mieście jakosz bedze. Boruch Ires.“

No, jak tylkó Flajszer powiada, że jakoś będzie, to on mi to załatwi; poczciwy Mendel! jak to dobrze, żem mu wszystko oddał nie targując się o procent, mam teraz u niego kredyt. Warunek, żebym był sam w mieście, uważałem za mniejszej wagi, natomiast napisałem zaraz do Mendla list bardzo serdeczny, w którym starałem się zaznaczyć jak najwyraźniej, że w nim pokładam całą nadzieję. Posławszy ten list na pocztę, czułem się spokojniejszym — aliści po upływie tygodnia odbieram pismo otwarte czyli korespondentkę opiewającą co następuje:

„Gadalím, is panim Wucherman. Niechce. Czekacz. Radze panim. Ziebi pan koneczne zrobicz, zebi pan Prziwiesz pinędze. Mendel Fleiszer.

Ta wiadomość była dla mnie tem nieprzyjemniejszą, żem się jej wcale nie spodziewał; byłem optymistycznie usposobiony, a tu tymczasem... szelma Mendel! tak pewno na niego rachowałem!.. ale cóż! widzi, że mam nóż na gardle i dlatego się droży... bo to tylko jest drożenie się... niepodobna, żeby nie dał jak sam pojadę... trzeba było tak zrobić odrazu, a nie spuszczać się na listy... Ale co on mi teraz zaśpiewa z procentem? wie, że muszę dać, bo z tym Wuchermanem niema żartów, zaprotestuje weksel jak dwa a dwa cztery... Przysiągłbym, że obadwaj są w zmowie, wyzyskują mnie... ale cóż robić?... W towarzystwie ani w żadnym banku nie dostanę, dopóki z tą hipoteką nie będzie końca... chybaby znaleźć poręczyciela... ale szukać go, żebrać podpisu, narażać się na odmowę? padam do nóg! wolę już z Mendlem... niech mnie jeszcze ten raz obedrze. Jednakże, jeżeli nie da, co będzie?

Zmęczony temi przyjemnemi myślami, położyłem się na sofie, bo to była pora poobiednia, w której zwykłem był drzemać; ale nie mając ochoty do snu, wziąłem do rąk świeżo otrzymaną broszurę o kwestyi żydowskiej, którą to kwestyę od niejakiego czasu pilnie studyowałem, w nadziei, że wśród tej powodzi rozumowań pro i contra, spotkam się z receptą, z pomocą której dałby się wy-

tworzyć jakiś modus vivendi z moimi prześladowcami. Czytałem, ale w głowie mi się kotłowało, wyobraźnia nasuwała ponure obrazy, a pomiędzy wierszami czytanej broszury majaczyły figury Szai Wuchermana, Mendla Flajszera, woźnego z sądu z pozwem w ręku, nareszcie delegata sądowego zesłanego na sekwestracyę; wszystkie te miłe osobistości tańcowały przedemną, szydziły śmiejąc się cynicznie, kłuły bezlitośnie spojrzeniami, w których nie było ani iskierki podnioślejszego uczucia, ubolewania nad rozpaczliwem położeniem bliźniego.

Z tych marzeń, które zaczynały już przechodzić w senność, zbudziło mnie skrzypnięcie drzwi, w których ukazały się dwie postacie. Jedną był mój niedaleki sąsiad pan Abraham Szczęsnodolski, dzierżawca Zabłotowic, drugą jakaś nieznana mi a zagadkowa figura. Nie słyszałem wcale kiedy zajechali.

Może to kogo dziwić, że mój sąsiad, dzierżawca wsi i nazywający się Szczęsnodolskim, miał imię zapożyczone ze starego zakonu. Było to rzeczą bardzo naturalną, ponieważ sam był starozakonnym. Ojciec jego, renomowany lekarz, człowiek wielkiej nauki, zwał się Glücksthal, ale chowając syna na obywatela a nie wyzyskiwacza kraju, w którym się urodził, dla niego wyłącznie, bo już prawie na łożu śmierci, postarał się na legalnej drodze o spolszczenie nazwiska,

Młody Abraham mówił jak najczyściej po polsku, był wysoko wykształcony, znał kilka języków nowożyt-

nych, a z starożytnych głównie hebrajski, który studyował z zamiłowaniem: szwargot żydowski rozumiał o tyle tylko, o ile władał językiem niemieckim a władał nim biegle. Zresztą był człowiekiem bardzo przyzwoitym, lubianym w sąsiedztwie i przyjmowanym we wszystkich towarzystwach,

Gospodarował w Zabłotowicach wzorowo, a charakterystycznem było, że najpierwszą jego czynnością po objęciu majątku było wyrugowanie z karczmy żyda Jankla, który trzymając propinacyę po ojcu i dziadzie, uważał się już niemal za jej właściciela. Śmiejąc się mówił p. Abraham, że uczynił to dla tego, aby nie wodzić na pokuszenie swego współwyznawcę, a chłopstwo naprowadzić na drogę wstrzemięźliwości. Pozostawił mu tylko grunt należący do propinacyi pod korzystnemi warunkami, pilnie czuwając nad obrotami Jankla i chcąc zeń zrobić koniecznie rolnika.

O drugiej figurze, którą nazwałem zagadkową, nie wiedziałem co myśleć, bo nigdy w życiu nic podobnego nie widziałem. Był to widocznie żyd, ale ani surdutowiec ani chałaciarz, bo jego suknia jedwabna miała formę raczej księżej sutanny; nie nosił ani pejsów ani jarmułki na głowie, a brodę miał z rzymska przystrzyżoną. Cóż to mógł być za jeden?

Nie długo potrzebowałem sobie łamać głowę, bo Szczęsnodolski zaprezentował mi swego towarzysza.

„Mój kolega szkolny“, rzekł, „Dawid Koziogórski, doktor filozofii.“

A widząc moją minę, w której malowało się coraz większe zdziwienie dodał z uśmiechem:

„Nasz nowy rabin.“

Tu już zgłupiałem na dobre: rabin w sutannie bez pejsów i z przystrzyżoną brodą! cóż to za dziwoląg? mystyfikacya czy co?

„Pan dobrodziej się dziwisz“, rzekł czystą polszczyzną rabin, „nic naturalniejszego: bo też istotnie jestem jedynym może dotychczas pionierem na drodze cywilizowania i uobywatelenia moich współwyznawców. Ale przecie nie nazwiesz pan tego bzikiem reformatorskim.“

„A, broń Boże!“ zawołałem, „ale powiem szczerze, że trudno mi zrozumieć... rabin... pan Koziogórski... polak wyznania mojżeszowego...“

„Niestety“, odrzekł, „do tegośmy już doszli, że wydaje się to dziwolągiem! Mój ojciec nazywał się Ziegenberg, ja zmieniłem nazwisko, nie przez fanfaronadę ale po prostu z zasady. Jak nic naturalniejszego, że cudzoziemiec osiadły w kraju, pomimo spolszczenia się, zachowuje nazwisko, jakie z sobą przyniósł, tak znowu my zrodzeni na tej ziemi, która od tylu pokoleń była naszą karmicielką, przybierając rodowe nazwy, wyłącznie niemieckie, dawaliśmy dowód karygodnej niewdzięczności względem tych, których sokami żywiliśmy się i żywimy.“

„Panie doktorze!“ zawołałem z uwielbieniem, ściska-

jąc silnie jego rękę, „jesteś pan prawdziwym obywatelem kraju.“

„Na tej drodze pragnę wytrwać“, odrzekł oddając mi uścisk i wpadając w patos, „ciężką jest ona i przykrą, jak każdy gościniec nieutorowany, ale dzieło, do którego pragnę wznieść podwaliny, wymaga poświęceń. Ufam, że w kole tutejszej inteligencyi będę miał sposobność zaczerpnąć sił, ile razy zadanie moje wyda mi się ciężkiem. Wszak będę mógł uważać się za sąsiada i dom pański znajdę dla siebie otwartym?“

„Ale panie Koziogórski, dobrodzieju! nie ma o czem mówić“, rzekłem, „zaszczytem to będzie dla mnie.... Istotnie... mieć takiego sąsiada... nie spodziewałem się... I dawno pan doktor jesteś w naszych stronach?“

„Od paru miesięcy.“

„Nic nie wiedziałem.“

„Obowiązki moje rozpocząłem od rzeczy najpilniejszej, to jest od zniesienia hajderów; że przetrwałem i pokonałem wzburzenie, jakie z tego powodu powstało, uważam to za cud. Dzieciom kazałem chodzić do szkoły miejscowej chrześciańskiej, religii zaś uczę ich sam.... po polsku. W tym także języku wyłącznie rozmawiam z moimi współwyznawcami, nie tolerując żydowskiego szwargotu, którego używanie jest nonsensem niczem nie usprawiedliwionym.“

„Panie doktorze!“ zawołałem znowu, „prawdziwie... jesteś pan... nie mam słów! misya pańska jest wielką,

zwłaszcza, jeżeli nadto ze swego stanowiska . . . zechcesz pan dołożyć starania . . . wejrzeć w to, żeby . . .“

„Rozumiem pana“, rzekł rabin, „chcesz pan mówić o wykorzenieniu lichwy, o umoralnieniu nas.“

„Istotnie, to miałem na myśli.“

„Początek na tej drodze już zrobiony. Wpajam w nich poczucie obowiązków obywatelskich, uczę pojęcia o zjednoczeniu i zrównaniu wszystkich wyznań wobec sumienia, codzień wydobywam po cegiełce z tego chińskiego muru, jaki nas dzieli od reszty narodu. Swoją drogą staram się o zachowanie religijności, bo nic zgubniejszego, jak popadanie w ową bezmyślną, handlarską bezwyznaniowość, nie mającą nic wspólnego z bezwyznaniowością filozofów.“

P. Koziogórski zapalał się coraz więcej i mówił z wzrastającą emfazą:

„Spójrz pan na te rosnące z dniem każdym zastępy już nie prostych geszefciarzy z lichwiarską duszą, ale złodziei powierzonego im grosza, którzy oblekłszy się w skórę bezwyznaniowych kosmopolitów trwonią ten skradziony grosz na rozpustę; spojrz na setki dziewcząt zgubionych, co przed laty należało do wyjątków. Te zastępy, to zapowiedź naszej ruiny, nasze Mane Tekel Fares. Statystyka oblicza za ile lat nasza ludność zrówna się z chrześciańską i zgromadzi ostatecznie w swych rękach wszystkie bogactwa — a nie bierze w rachubę tych czynników rozkładowych. Mściwa Nemezys rozpoczyna swoje dzieło!“

„Dużo wody upłynie, nim go dokończy“, mruknąłem pomimowoli.

„Niechęć mówi przez pana“, rzekł tonem niewypowiedzianej goryczy, „niestety, masz do niej wszelkie prawo. Formy naszych myśli, nadziei różne — cóż mogliście w nas pokochać? co w nas poszanować? gwałt sobie zadajecie zbliżając się do nas. Gdzież ludzkość, tolerancya, grzeczność, które w innych ludach oświecenie i cywilizacya rozwija i przez które zbliża z sobą ludzi z ludźmi, narody z narodami?“

Co u dyabła! czy mnie słuch omylił? Mówił z uniesieniem goryczy dyktującej mu jakoby wyrazy, a powtarzał słowo w słowo to, co przed godziną czytałem w broszurze leżącej właśnie na stole. Spojrzałem, czy z niej nie czytał, ale oczy miał spuszczone ku ziemi.

„Jest to winą mas“, mówił dalej, „które skutkiem kabalistycznych naleciałości narzuconych przez fanatyzm okazały się nieprzejednanymi wrogami postępu i cywilizacyi, które zachowują odrębność wraz z najwstrętniejszym jej wyrazem, szwargotem. Ale nie wierz pan tym fałszywym interpretatorom, którzy w samym naszym zakonie wskazują przyczyny tej odrębności. Judaizm oparty na czystym Mozaizmie, jako religia na wskróś etyczna, w zasadzie godzi się z każdą formą społecznego ustroju.“

Zamilkł i przymknął oczy jakby zmęczony, a twarz jego przybrała wyraz jakiejś boleści.

„Pozwól pan“, rzekł po chwili zupełnie innym, cichym tonem, „abym prawdy moich słów i czystości zamiarów dowiódł czynem. Z tą myślą nawet tu przyjechałem.“

Nadstawiłem uszu, ciekawy co z tego będzie?

„Pan masz długi“, rzekł krótko.

Trudno było zaprzeczyć, więc tylko spuściłem oczy, przybierając minę ptaka żywcem oskubanego.

„Wiem, że pan jesteś obecnie napastowany przez Wuchermana, tę pijawkę, która jest zakałą naszej gminy.“

„Pan masz więcej takich pijawek pod swoim zarządem duchownym“, wymknęło mi się.

„Wiem o tem i przedsiębiorę też jednę z prac Herkulesa: oczyszczenie stajen Augijaszowych. Da Bóg, że podołam temu, a tymczasem na poczatek chciałbym uporządkować pański interes z Wuchermanem.“

To mi się najlepiej podobało z tego wszystkiego, co dotychczas powiedział; nie dlatego, żebym lekceważył kwestyę zjednoczenia się z nami żydów, ale że ten jego środek prowadził najprościej do celu.

„Otóż“, rzekł, wyciągając do mnie rękę, „proszę pana, racz przybyć w tych dniach do mnie. Przywołam tego lichwiarza i przyprowadzę ugodę do skutku: aż nadto dosyć mieć będzie połowę tej kwoty, na którą pan mu wystawiłeś weksel, a i tę postaram się rozdzielić na małe raty przez ciąg lat paru na godziwy procent. Czy mogę rachować na bytność pańską?“

„Panie!“ rzekłem w uniesieniu, „czyż możesz wątpić o tem? jesteś feniksem, unikatem... jakże się panu odwdzięczę, jak nagrodzę...“

„Nagrodą dla mnie będzie przeświadczenie, żem spełnił obowiązek.“

„Ani słowa, i wolno panu na tem poprzestać, ale do mnie należy uczcić człowieka takiego jak pana.“

To mówiąc, miałem na myśli ostatnie dwie butelczyny pozostałe w piwnicy jeszcze od przenosin; więc chwyciłem za dzwonek stojący zawsze na mojem biórku aby zadzwonić na Grzesia.

Ale co u licha, czy czary jakie? ręka odmówiła mi posłuszeństwa: trzymałem rękojeść dzwonka a poruszać nim nie mogłem. Wszelkie usiłowania były daremne. Pomimo to, rzecz dziwna, dzwonek sam się odezwał: słyszałem jego głos. Dzwonił, dzwonił, naprzód jakby gdzieś daleko, potem coraz bliżej, aż nareszcie rozmachał się na dobre.

Nie mogłem zdać sobie sprawy z tego, co się dzieje, siliłem umysł napróżno, nareszcie zmęczony.... otworzyłem oczy.

Tuż przy sofie, na której leżałem, stał mój jedynaczek Staś i śmiejąc się, dzwonił mi nad samem uchem.

Spojrzałem na pokój: panów Szczęsnodolskiego i Koziogórskiego ani śladu, poczułem tylko mocną woń... czosnku; przyczynę tejże łatwo zrozumiałem, ujrzawszy przy drzwiach przyjemnie uśmiechnięte oblicze Lejby

Szycmana, w jarmułce, z pejsami i ze wszystkiem co do niego należało.

Dobryś! akurat kilka dni temu upłynął termin jego rewersu na sto guldenów, który mu wystawiłem przed trzema miesiącami. Wiem już po co przyszedł.

Ale ci panowie, co tu byli przed chwilą? byłże to sen?

Zerwałem się na równe nogi, co zobaczywszy Lejba ukłonił mi się jarmułką.

„Dzień dobry wielmożnemu panu“, rzekł wdzięcząc się, „wielmożny pan tak smaczno spał.“

„Pocóżeś mnie obudził?“ odparłem pochmurno rozespany jeszcze.

„To nie ja, to temu małemu“, rzekł wskazując na Stasia.

„Skądżeś się tu wziął?“

„Przyszedłem tak sobie.“

„Słuchaj“, rzekłem, przeszedłszy się kilka razy po pokoju, ażeby ochłonąć, „jak się wasz nowy rabin nazywa?“

„Po co nowy, kiedy my mamy starego? on się nazywa Szloma Goldwänder.“

„A Koziogórskiego niema?“

„O takim rabinie jak żyję niesłyszałem.“

Oprzytomniałem przez ten czas zupełnie.

. . . .

Niestety! Morfeusz figlarz zadrwił sobie ze mnie bezecnie, pokazując mi gruszki na wierzbie.

Co za szkoda!

. . . .

„Gdybym miał nadzieję, że ty chociaż tego doczekasz, mój synu“, rzekłem do Stasia całując go.

„Co niema doczekać“, zauważył Lejba, nie domyślając się o czem mowa, „jemu dopiero na świat!“

Staś wybiegł z dzwonkiem. Pozostałem sam z Lejbą.

Smutne rozczarowanie po tak pięknem marzeniu!

Stary Azor i młody Azor.

To, o czem będę mówił poniżej, działo się w niewielkiem mieście powiatowem, a raczej na jego przedmieściu, gdzie zajmowałem przez czas jakiś wraz z rodziną jeden z domków, odznaczający się wśród całego szeregu innych nowszą strukturą i rodzajem wieżyczki czy gołębnika, z powodu którego nazywano go szumnie willą.

W najbliższem naszem sąsiedztwie, już nie w willi, ale w odrapanym dworku z facyatką i gankiem na wykrzywionych słupkach, mieszkali niejacy państwo Jagłowie, mający psa, zwanego Azorem, z którym moje dzieci zaprzyjaźniły się nie wiedzieć jak i kiedy.

Było to stare psisko, z rodzaju zwyczajnych wiejskich kundysów, z wejrzeniem rozumnem i poczciwem, jakiego już dzisiejsze psy nie mają. Nie wzruszajcie ramionami, mówię to na podstawie obserwacyi. Tak jest. Dzisiejsze psie pokolenie, to już nie to, co dawne; bo i cóż potrafi kto wyczytać w fizyognomii takich naprzykład charcików

pokojowych, owej śmietanki psiego rodu, ubieranych w kosztowne nieraz szlafroczki, lub też pokrewnych im amerykańskich czy afrykańskich modnisiów, bez sierści, co wyglądają niby golone, albo obleczone w skórę jakiego gadu?... Głupotę tylko, bezmyślność, nic więcej. Do czego one zdolne? Drżeć z zimna, skomleć za lada doznaną przykrością i w chwili dobrego humoru poigrać z łaski swojej z opiekunką (bo są to po większej części ulubieńcy kobiet), nic więcej nad to. Niema w nich ani śladu jakichś wznioślejszych instynktów: poświęcenia, zaparcia się, chęci odsłużenia się za doznawane łaski, rozumienia wzroku swoich dobrodziejów. Jeżeli spojrzą kiedy bystro w ich oczy, to tylko z niecierpliwości, którą stwierdzają grzebaniem nóżkami i nerwowem poszczekiwaniem, bo zazwyczaj chodzi tu jedynie o spacer, do którego przyszła im ochota, lub o biszkopcik ze śmietanką, którego im nie dano w zwykłym czasie. Albo owe pieszczotki i bawidełka elegantek, niewidzialne prawie wśród pokrycia z długiego jedwabistego włosa, szczekające na byle co i udające, że to robią w obronie swoich pań, mikroskopijne czasem pinczery i King Charles? Próżniacka to i nieużyteczna zgraja. Wreszcie buldogi o wstrętnej fizyognomyi i coraz więcej wchodzące w modę, zbliżone do nich mopsy, w których spojrzeniu maluje się fałsz, egoizm i zimna obojętność, a w wysuniętej naprzód dolnej wardze arogancya, lekceważenie i pomiatanie wszystkiem tem, co godne poszanowania: czyż zasługują one,

aby ich zaliczyć do psiego rodu w znaczeniu tem, w jakiem przywykliśmy go cenić i szanować, przez które zarobił sobie na to, aby stać się uosobieniem tylu zalet, jak wierność, uczucie wdzięczności i poświęcenia? Bynajmniej. Należy się to tylko psom starej daty.

Azor właśnie był takim psem, — była to poczciwość i zacność chodząca. Jego właściciel, pan Jagła, miał jakieś nieokreślone zajęcia; z czego żył, trudno było dociec, ale za to każdy łatwo mógł dostrzedz, że w domu bieda, jak to mówią, aż piszczała. Miał kilkoro drobnych dzieci, które chodziły jak cienie, poprostu z głodu. Azor musiał to widzieć, bo coś podobnego nie mogło ujść bystrości jego inteligencyi. Widział oczywiście i bolał nad tem, jak prawdziwy stary sługa dawnej daty; wszakże ta cała dziatwa przyszła na świat i chowała się w jego oczach. Widząc nieraz, jak starał się czytać w ich spojrzeniach, jak machał ogonem i usiłował zabawić maleństwo ociężałemi skokami i aportowaniem rozmaitych przedmiotów, byłbym niemal przysiągł, iż czynił to dla tego, aby dzieci, śmiejąc się z jego sztuczek, zapomniały o głodzie. Aż nareszcie przyszła mu do głowy myśl zużytkowania swej umiejętności na korzyść ulubieńców.

Pod wpływem tego natchnienia Azor stał się złodziejem.

Tak jest, złodziejem, z żalem muszę to wyznać, chociaż, w głębi duszy, nie śmiałbym z czystem sumie-

niem poczytać mu tego za występek. Pojęcie kradzieży jest i u ludzi bardzo elastycznem, cóż dopiero u psów. Wszak jest maksyma, że „cel uświęca środki“, a na tej maksymie bardzo daleko zajechać można. Jest oprócz tego w naturze rzeczy, że „powodzenie kładzie aprobatę na uczynku spełnionym“; wolno ci jest porwać się na wszystko, chociażby to nawet było wbrew zasadom czystej etyki, byleś tylko, obok zachowania pewnych form koniecznych, miał siły potrzebne do przeprowadzenia zamiaru. Komu powinie się noga na tej drodze, jest zgubionym w opinii, i na odwrót, powodzenie usprawiedliwia najzuchwalsze zachcenia. Siła przed prawem jest dziś potęgą — i podobno nie dziś tylko — była nią zawsze; tylko, że dziś dopiero miano odwagę przyznać to głośno. Wobec tego, jak określić, gdzie kradzież przestaje być kradzieżą, a ma prawo nazwać się legalną zdobyczą?

Otóż Azor nie kradł, lecz puszczał się na zdobycz, która potrzebną mu była dla dzieci jego pana, zmuszonych znosić głód. Kradł dla nich bułki. Jednakże, gdy pojęcie tej konieczności stało się dlań zrozumiałem, nie odrazu zamienił je w czyn: przetrawiał je w sobie, walczył z wrodzonem poczuciem uczciwości, które widocznie mówiło mu, że zamyśla o złym uczynku. Potrzebował naprzód oswoić się z myślą, która go opanowała.

Niedaleko od mieszkania państwa Jagłów, miała stragan przekupka, z którą starał sie przedewszystkiem

zabrać znajomość, widocznie w tym celu, aby zbliżenie się jego do straganu nie wzbudzało podejrzeń: więc witał ją znaczącem machaniem ogona, przysuwał się coraz bliżej, a gdy przemówiła doń, lub przy bliższem poznaniu pogłaskała po łbie, okazywał swoją radość forsownemi ewolucyami, które, jeżeli ze względu na poważny wiek były pozbawione wdzięku, to za to potrafiły nieraz rozśmieszyć babę. Spoufaliwszy się z nią w ten sposób wkradał się coraz więcej w łaski, tak, że już nawet bez ceremonii wylegiwał się w pobliżu stragana, na który przecież zawsze, pomimo sztucznego zaniedbania pozy, zwracał bystre spojrzenia, jak gdyby badał przyszłe pole swoich popisów.

Nareszcie razu jednego, po stoczeniu ostatniej walki ze skrupułami, korzystając z chwili, gdy straganiarka miała uwagę zwróconą w inną stronę, czy też może drzemała, przybliżył się do straganu, wziął delikatnie w pysk bułkę i nie oglądając się wcale, chociaż bez zbytniego pośpiechu, mogącego się wydać komuś podejrzanym, pobiegł w stronę, gdzie dzieci bawiły się piaskiem i złożył przed niemi bułkę, tak samo, jak to czynił aportując kamień lub kawałek kija.

Byłem świadkiem tego przestępstwa Azora i śledziłem jego ruchy. Zazwyczaj bywało, że chwyciwszy rzucony mu jakiś przedmiot, niósł go z głową wzniesioną dumnie, zadarłszy ogon, którym wymachiwał z zadowoleniem; obecnie łeb miał zwieszony, ogon wtulony pod sie-

bie, a skoro tylko złożył bułkę przed dziećmi, gdy te rzuciły się na nią z łakomstwem, usunął się na bok, jak gdyby dla odwrócenia od siebie wszelkiego podejrzenia, położył się po cichu i wyciągnąwszy mordę na przednich łapach, zmrużył oczy.

Scena podobna powtórzyła się niejednokrotnie, a że powodzenie uzuchwala i we wszystkich sprawach nieczystych pierwszy krok najwięcej kosztuje, Azor oswoił się ze swoją rolą złodzieja, udoskonalił ją, zaczął traktować systematycznie i szukać dla niej szerszej areny. Znalazł w pobliskim sklepiku i okolicznych kuchniach, w których z początku był dobrze widzianym, bo potrafił wkradać się z miną dobrodusznego poczciwca; ale w krótce wszędzie zaczynał tracić łaski, skoro się przekonano, jaki cel mają te odwiedziny. Spotykały go nieraz porządne cięgi, które przyjmował z całą rezygnacyą. U nas porwał raz naprzykład z kuchennego stołu świeżo usmażony befsztyk, na który ja, będąc głodnym, czekałem z niecierpliwością. Przyznam się, że w pierwszej chwili byłem wściekły i niewiele brakowało, żebym nie strzelił za uciekającym, bo już miałem w ręku nabitą strzelbę, ale gdy spostrzegłem, że oparł się pokusie ponętnego zapachu, czegoby inny pies nie potrafił, i nie pożarł befsztyku, tylko niósł go w pysku, chociaż nie na wiele mógł się przydać tym, dla których był niesiony — tak mnie wzruszył, że dałem mu pokój.

Wspomniałem na początku, że był w bardzo dobrych

stosunkach z mojemi dziećmi. Było to także obmyślane. Bawił je między innemi zręcznem zdejmowaniem kapelusików z głowy, przyczem wykonywał pocieszne skoki, wspinając się łapami na ich piersiach. Ile razy jednak spostrzegł w ręku którego z dzieci coś obiecującego, bułkę naprzykład, wówczas skacząc w celu zdobycia kapelusza, z figlów niby chwytał ją z ręki i umykał w szalonym pędzie.

Zdawałoby się, że te i wiele innych dowodów przywiązania do dzieci pańskich powinny były zaskarbić dlań wdzięczność moich sąsiadów i zapewnić chleb łaskawy do śmierci. Niestety, inaczej się stało. Azor zwykłym porządkiem rzeczy starzał się i ze względu na to zaczął się przykrzyć swoim chlebodawcom, którzy zresztą chowali właśnie na jego miejsce młodego psiaka, także zwanego Azorem, który był rodzonym synem starego.

Stosunek ten familijny zdawało się potwierdzać powierzchowne podobieństwo — mówię powierzchowne, ponieważ istotnie nie było niczem więcej; młody Azorek miał te same kształty, tę samą barwę szerści, ozdobionej prawie takiemi samemi łatami, ten sam nawet głos, co stary Azor, gdy szczekał, ale zupełnie inne spojrzenie i wyraz fizyognomii, które odziedziczył po matce; były one pełne arogancyi, złośliwości, jakiegoś lekceważenia wszystkiego i wszystkich; odznaczał się pewnością siebie i stanowczością po nad wiek i stanowisko, jakie zajmował w psiej hierarchii, a obok tego brzydkiem tchórzostwem

i brakiem wszelkich zasad moralnych. Starego Azora ba się z początku i starał mu się przypochlebiać; na jego lada warknięcie kładł się przed nim na grzbiecie, zdając się z pokorą na łaskę i niełaskę — ale gdy tylko poszczuto nim starego, czując za sobą plecy, zmieniał natychmiast obejście i gdyby nie pewna jeszcze obawa, byłby gotów znęcać się nawet nad nim.

Ale i tej obawy pozbywał się po trochu. Stary tracił siły coraz więcej, obojętniał na doznawane krzywdy, ogarniała go jakaś apatya; wylegiwał się zazwyczaj w pewnem oddaleniu od swojego dawnego domu, z którego nareszcie go wypędzono. Wpatrując się weń smętnie, zamyślony, jak gdyby rozpamiętywał stare dzieje, machał tylko ogonem, ile razy ujrzał zdaleka kogoś z tych, którzy go się wyparli, a których on zawsze nazywał swoimi. Gdy młody, rozzuchwalając się coraz więcej, naszczekiwał nań całemi godzinami, obojętnie przyjmował te zaczepki, czasami tylko w chwilach z niecierpliwienia pokazując w milczeniu przytarte zęby. Chociaż nie były już wcale groźne dla niego, młody zaprzestawał zwykle ujadania i z wyciągniętym pyskiem węszył go naokoło, jak gdyby zbadać doniosłość tego przebłysku energii — po chwili jednak wznawiał zazwyczaj z podwojoną zajadłością szczekanie, z czasem nabierał takiej śmiałości, że przyskakiwał jakby w chęci szarpnięcia ojca — zawsze jednak przez ostrożność godząc z tyłu.

Natura psia, stawiana zazwyczaj jako wzór wielu

szlachetnych instynktów, bywa w pewnych razach nikczemną. Nikczemnym i podłym jest szczególnie pies wtenczas, gdy szczeka na rodzonego ojca lub brata na proste poszczucie tych, w których jest służbie. Bardzo piękną jest wdzięczność sługi i wdzięczność obowiązkowa, ale pojmowana w ten sposób, że nie waha się prześladować własnej krwi, jest nikczemnością. Młody Azor był pod tym względem typem. I przyszła dlań chwila trymfu, a wiadomo przecież, że tryumf duszy podłej jest czemś nad wyraz wstrętnem.

A stało się to tak: sędziwy Azor wypędzony z domu, został tułaczem, a jako tułacz zaczął być ludziom solą w oku; o, bo ludzie w takich razach bywają okrutni! Krzywo patrzano na to, że wylegiwał się w sposób próżniacki, nie pomnąc, że na ten spoczynek zasłużył sobie uczciwie; zapomniano, że nie zawsze leżał na słońcu, bo bywały przecież chwile szkaradnego zimna i niepogody, które musiał znosić pod gołem niebem, nie mając dachu. Przytem nie podobało się i to, że przyciśnięty głodem wkradł się czasem do kuchni lub jatki i porwał jakiego porzuconego ochłapa, czego jednak dopuszczał się tylko wtenczas, gdy na śmietnikach nic znaleźć nie mógł. Brano mu za złe, że jako stworzenie boskie starał się o przedłużenie nędznego życia. Szczególniej zdawał się mieć o to pretensyę jego dawny pan, który w tej nadziei wygnał go od siebie głuchego i napół ślepego, że niebawem zdechnie gdzie pod płotem. Tymczasem Azor żył, zawadza-

jąc mu swoim widokiem, jako żywy wyrzut sumienia. Więc razu jednego nareszcie sprowadził oprawcę, aby go sobie zabrał.

Było to wielkim wypadkiem dla małoletniej gawiedzi przedmieścia. Oprawca szedł z długim kijem, opatrzonym w stryczek, a za nim gromada dzieci, chcących być świadkami ostatniej katastrofy Azora, który nic nie przeczuwając spoczywał tymczasem na swojem zwykłem legowisku. Cóż się tu dziwić dzieciom, że ciekawe były egzekucyi psa, kiedy na egzekucye ludzkie zbierają się tłumy starszych, nie z innych pobudek, jak tylko dla zaspokojenia ciekawości.

Młody Azor znajdował się właśnie jak zwykle na placu, gdy zbliżył się wykonawca wyroku; nie narażało go to przecież na żadne niebezpieczeństwo, bo miał na szyi obrożę z tabliczką, przedstawiającą świadectwo loyalności. Zachowanie się syna w obec smutnej egzekucyi było oburzającem: nie tylko nie stanął w obronie ojca, ale nawet nie usiłował ostrzedz go o grożącem niebezpieczeństwie, przed którem możeby ten jeszcze ujść zdołał. Z wszelkiemi oznakami małodusznego przerażenia, myśląc tylko o sobie i o swojej karyerze, przytulił się do nóg pana, pełen obawy, aby wskutek związków krwi nie popadł i on w niełaskę. Skazany zaskoczony z nienacka nie opierał się, czując że to byłoby nadaremnem: naokoło siebie widział tylko nieprzyjaciół, do których zaliczał się jego własny syn — szedł więc z rezygnacyą; raz tylko

spojrzał na swój dawny dom, snać nasunęły mu się wspomnienia, bo poruszył kilka razy nerwowo ogonem — i nic więcej. Nie obejrzał się już ani razu — może obawiał się, aby mu serce nie pękło.

Młody został na placu i w sposób wstrętny przymilał się panu, który wydał wyrok na jego ojca — kto wie, może nawet dzielił jego zadowolenie, bo i sam pozbywał się widoku, który mógł być dlań ciągłym i żywym wyrzutem. O sumieniu nie pomyślał, bo je uważał za przesąd. Czy był potem szczęśliwym? nie wiem — ale prawda, że to pies, więc bardzo być może.

Nie odrazu Kraków zbudowano.

...Z wielką przyjemnością wybierałem się na zabawę do państwa Kociobursklch, w których domu miałem nadzieję spotkać całe sąsiedztwo i mieć sposobność zaimponowania mu moją osobą. Ponieważ przybyłem na wieś do mojego kuzyna jako literat już opromieniony aureolą sławy, z nazwiskiem, które było w ustach kazdego inteligentnego mieszkańca Warszawy, tem pewniejszym przeto byłem tryumfów wśród zaściankowego towarzystwa Baraniej Woli.

Dla ścisłości historycznej muszę objaśnić, że działo się to w tej epoce, gdy wypuściłem na świat pierwszy mój utwór, fantazyą romantyczno-dramatyczną p. t. „Taniec szkieletów na grobie wisielca“, drukowaną w pewnem niepłacącem honoraryów autorskich „Piśmie dla rodzin.“ Nawiasem mówiąc, pismo owo pomimo swego sentymentalnego tytułu, a może właśnie z powodu niego cieszyło się bardzo szczupłą liczbą prenumeratorów wśród „rodzin“, ta okoliczność jednak nie ujmowała mu nic z mojego

szacunku i wmawiałem w siebie, że ukazanie się w tak poważnym organie mojego „Tańca szkielietów“ musiało odbić się echem nietylko w Warszawie, ale w całym kraju.

To pewna, że w Warszawie pokazywaną mnie sobie palcami — o tem byłem najmocniej przekonanym — zwłaszcza gdy jedno z pism wydrukowało, że „utalentowany autor dobrze znanego czytającej publiczności „Tańca szkieletów“ pisze, jak się dowiadujemy, dla naszego teatru oryginalną komedyą pięcioaktową p. t.: Serce i nerwy.“ Oryginalną! wyrażenie niemądre, które zyskało prawo obywatelstwa w naszem piśmiennictwie, bez względu, że ubliżamy niem sami sobie. Czyż utwór prawdziwie oryginalny jest już u nas taką osobliwością, żeby aż trzeba robić o tem wyraźną wzmiankę? Śmieszność! No, ale to nie należy do rzeczy; dosyć, że byłem zadowolony z reklamy, zwłaszcza, że te wyrazy: „pisze dla naszego teatru“ dźwięczały mi w uszach bardzo efektownie, chociaż Bogiem a prawdą, ani mi się śniło marzyć o takim zaszczycie, żeby słowo moje zabrzmiało na deskach naszej pierwszej sceny. Byłbym z wielką radością poprzestał na Rypinie albo Ryczywole. Pisano o mnie, a co zatem idzie, byłem przedmiotem rozmów, człowiekiem znanym, znakomitością. W publicznych miejscach zdawało mi się, że wszyscy byli mną zajęci; w teatrze podczas antraktów stawałem w krzesłach zwrócony twarzą do sali, w niezmiernie malowniczej pozycyi. Każda lornetka zwrócona

w moją stronę miała za cel moją osobę, słyszałem szepty nieskończenie dla mnie pochlebne: Kto to jest ten przystojny młodzieniec w drugim rzędzie? — Autor „Tańca szkieletów". — Nie może być! to ten? — Pisze komedyą pięcioaktową. — A! taki młody.... — Te głosy — słyszane naturalnie tylko w mojej wyobraźni — podnosiły mnie wysoko we własnem przekonaniu. Lornetki coraz dłużej zatrzymywały się na mojej fizyognomii, kobiety w lożach nachylały się do siebie i pokazywały mnie palcami; jeżeli spostrzegłem którą zachowującą się obojętnie, pomimo mojej wystudyowanej pozy, sam lornetowałem ją uporczywie, ażeby zwrócić na siebie uwagę

Przy wyjściu stawałem w przedsionku jak na wystawie, przybierając jednak umyślnie wyraz twarzy obojętny a nawet znudzony.

W domach stanowiących kółko moich znajomości, gdzie czytano a przynajmniej widziano „Tańce szkieletów na grobie wisielca", — bo rozdawałem egzemplarze, jedyne honoraryum, jakie otrzymałem od „Pisma dla rodzin", — obawiano mnie się jak ognia, wmawiając, że zbieram z ludzi wzorki. Nie wypierałem się tego bynajmniej, rozkoszując się moją wyższością. Miano mnie za literata całą gębą, a ta opinia musiała przecież przedrzeć się na prowincyą, kto wie nawet, czy nie w spotęgowanej formie! Zdaleka wydajemy się większymi niż zbliska. Jestto nasze złudzenie optyczne.

Takie myśli chodziły mi po głowie podczas robienia

toalety na występ w domu państwa Kociburskich. Studyowałem w lusterku wyraz fizyonomii i pozy, jak aktor przed debiutem, w czem przecie nie było nic tak dalece zdrożnego, gdy tak samo robią niektórzy doktorowie filozofii występujący z odczytami.

Ruszyliśmy nareszcie. Kuzyna mojego Jasia Jęczmionkiewicza, chociaż na jego wózku jechałem, uważałem jako dodatek do mojej osoby . . . bo i gdzież jemu do mnie? Prawda, że bogaty i wcale nie zły chłopiec, ale . . . ograniczony, z przeproszeniem, jak but. Głupiego listu nie był wstanie dobrze skomponować, jak sam otwarcie się przyznawał — a co do mojego „Tańca szkieletów“, to już prosto w głowie nie mogło mu się pomieścić, jak ja to potrafiłem napisać.

Jechałem więc pełen poczucia własnej wielkości, nie zazdroszcząc nikomu sławy, której miałem aż nadto na swoję osobę. Większej nie potrzebowałem. Zbytek rodzi przesycenie; przesycenie — obojętność. Pierwszorzędne znakomitości, o których pełno codzień na wszystkich szpaltach dzienników, przestają zajmować uwagę, tak samo jak widziane codziennie choćby największe cuda. Czyjąż myśl zaprzątnie obraz wspaniałego słońca albo pełnych tajemniczego blasku gwiazd i księżyca, gdy z ich widokiem jesteśmy tak oswojeni? za to ileż nieraz podziwu wzbudza widziany tylko w przelocie meteor! Otóż ja byłem meteorem, który miał zabłysnąć na horyzoncie

Baraniej Woli i wprawić w zachwyt jej mieszkańców i gości.

Przybywszy na miejsce, zastaliśmy zapełnione wszystkie pokoje. Powiedziałem sobie, że będę starał się być przystępnym, strzegąc się wszelkiej pozy mogącej onieśmielić tych, których zaszczycę moją rozmową. W pewnych razach trzeba mieć delikatność. Przybrałem więc na tę intencyą wyraz twarzy dobroduszny i pełen wyrozumiałości. Na nasze spotkanie wyszedł gospodarz domu, który nie uważając na mnie, pochwycił w uściski Jasia, wymawiając mu, że przybył tak późno. Zamiast odpowiedzi, Jaś, wskazując na mnie, rzekł:

„Mój kuzyn, Apolinary Bardoński.“

Imię moje wymówił dobitnie.

Oddając ukłon z niechcenia, spojrzałem na pana Kociburskiego.

O dziwo! jego twarz nie wyrażała nic, ale to nic zupełnie. Wypowiedziawszy idyotyczną formułę: „A! bardzo mi przyjemnie“ — wziął pod rękę Jasia i wprowadził do salonu, mnie zaprosiwszy tylko skinieniem ręki.

Poszedłem za nimi upokorzony niezmiernie. Jakto! on nie wie o tem, że to ja jestem autorem „Tańca szkieletów“? Oczywiście, chyba nie wie! dowodem tego jego niepojęta obojętność na brzmienie mojego nazwiska. Ale cóż dziwnego — pomyślałem sobie — taki szlagon zadomowiony . . . może nawet wcale pism nie czytuje . . . ale przecie nie wszyscy będą tacy w tem towarzystwie.

W salonie, gdzie pełno było płci pięknej, na którą najwięcej rachowałem, Jaś przedstawił mnie ogólnie jako swego kuzyna, ale trafił jakoś nieszczęściem na taki gwar, że nie wszyscy mogli usłyszeć, kogo prezentuje. Złożyłem ukłon, odkłoniono mi się i na tem koniec. Nikt się mną nie zajął w sposób odznaczający. Zaczynało to mnie już gniewać... cóż u licha, czy tu nikt nie czytuje i nie wie o literaturze?

W krótce nastąpiły tańce, do których wciągnięto mnie przemocą, ale ponieważ nie byłem bohaterem w sztuce, którą uważałem za niegodną człowieka namaszczonego na kapłana słowa, przeto wkrótce wypuszczono mnie z opieki, dając delikatnie do zrozumienia, że jestem do niczego.

To tak zepsuło mi humor, że chciałem odjeżdżać, nie czekając końca, ale nie było sposobu skłonić do tego mojego kuzyna, który się bawił wybornie.

Wśród tych udręczeń doczekałem się kolacyi, którą podano coś około północy. Jaś wśrubował się zaraz pomiędzy dwie najładniejsze panny, mnie posadzono na szarym końcu, jak ofiarę pomiędzy dwoma podlotkami, z wyraźnem zastrzeżeniem p. Kocioburskiego, abym się starał nie znudzić ich mojem towarzystwem.

Byłem wściekły.

Zaraz po pierwszem daniu rozpoczęły się toasty, których było co nie miara: najprzód matadorów płci obojej, potem księdza kanonika i duchowieństwa, dalej

stanu obywatelskiego, dam, wreszcie młodzieży — ale przed tym ostatnim jeszcze gospodarz domu, jako mający córkę na wydaniu, wniósł oddzielnie zdrowie mojego kuzyna „szanownego i kochanego sąsiada pana Jana Jęczmionkiewicza“. Przestałem się już naturalnie łudzić, aby wspomniano o mnie albo o moim „Tańcu szkieletów“ — aliści przy samym już końcu p. Kocioburski podniósłszy kieliszek rzekł:

„Pozostaje nam jeszcze jeden toast, którego pominąć się nie godzi.“

Nie zwracałem uwagi na to przemówienie, ale ździwiło mnie, że patrzył uporczywie w moją stronę.

„Mamy tu“, mówił dalej, „gościa z Warszawy, kuzyna naszego kochanego sąsiada. Zatem wnoszę zdrowie pana . . . pana . . . przepraszam, jakże godność? bo przyznam się, że zapomniałem.“

Zaczerwieniłem się a potem zbladłem, ale nie odpowiedziałem ani słowa, tak jak gdyby się to nie mnie tyczyło.

Zaczęto spoglądać to na mnie, to po sobie, przyczem usłyszałem szepty: „Jak się nazywa? jak się nazywa?“ O zgrozo! nikt nie wiedział. Jaś tego wszystkiego nie słyszał, zagadawszy się z sąsiadkami, dopiero na czyjąś formalną interpelacyą rzekł z niechcenia: „Bardoński“ i znowu zatopił się w rozmowie.

„Zatem zdrowie pana Bajdurskiego“, zaintonował p. Kocioburski, przekręcając moje nazwisko i wychylił kie-

liszek. Niektórzy poszli za jego przykładem, nie robiąc sobie wszakże subjekcyi, żeby powstać jak każe zwyczaj, ale większość nie umaczała nawet ust... tylko moje sąsiadki, dwa podlotki, trąciły się ze mną swojemi kieliszkami napełnionemi wodą. Całe moje szczęście, że właśnie ruszono się od stołu, bo nie wiem jakbym był dłużej wysiedział.

. . . .

Wiele, wiele wody upłynęło, nim zrozumiałem, jak wielką przysługę oddał mi pan Kocioburski. Pierwsze fiasco, jakie mnie spotkało w domu tego zacnego filistra, miało skutki nader zbawienne, nauczyło mnie bowiem mores, wybijając z głowy raz na zawsze wszelkie pretensye do pozowania na niedowarzaną znakomitość.

Jakżeby się niejednemu przydała podobna nauczka!

My tak zawsze.

Do wagonu drugiej klasy pociągu, odchodzącego do Zagórza, wsiadło w Przemyślu czterech ichmościów, zupełnie sobie nieznajomych. Dowiedzieli się wprawdzie przypadkiem, gdy konduktor kontrolował bilety, że jadą wszyscy do jednej i tej samej stacyi, to jest do Chyrowa; wdali się nawet w gawędę, ale ta ograniczała się na ogólnikach, a głównie, jak to u nas bywa, na polityce — tak więc, żaden z nich nie dowiedział się niczego bliższego o współtowarzyszach.

Gdy przybyli do Chyrowa, spotkał ich przy wysiadaniu faktor, miejscowy żydek, z zapytaniem:

„Może panowie potrzebują furmanki?“

A że wszyscy właśnie znajdowali się w tem położeniu, więc zaczęli rozrywać żydka, który, musimy mu oddać sprawiedliwość, tak manewrował, że wszystkim jakoś, ile możności postarał się zadość uczynić.

Ten, którego najpierw załatwił, wsiadł na chłopski wózek zaprzężony w parę szkapiąt i wyruszył gościńcem ku Staremu Miastu.

Wkrótce wszakże przekonał się, że źle trafił; szkapy o ile z początku rącze, o tyle w miarę ubieżonej odległości zaczęły wolnieć i nareszcie, pomimo nieustannego zachęcenia batem, z truchta przeszły w stępa. Wyminął ich niebawem tak zwany ‚Eilwagen‘ czyli karetka pocztowa, pełna podróżnych, wymijały i inne wozy lub bryczki, aż w końcu do tego doszło, że niefortunny pasażer uznał za najstosowniejsze przystać na propozycyą chłopa, który oświadczył, że musi zatrzymać się dla wytchnięcia koniom przed stojącą przy trakcie karczemką.

Zapalił tedy cygaro, i uzbroiwszy się w stoicką cierpliwość zasiadł na ławeczce przed karczmą. Nie wyszło dziesięć minut, gdy od strony Chyrowa nadjechał znowu ogromny furgon z budą płócienną, vulgo omnibus żydowski, i stanął także przed karczmą, zaś z jego wnętrza dał się słyszeć głos:

„A pan dobrodziej dokąd jedzie?“

I wnet po tych słowach wytoczyła się z pod płóciennej budy postać, w której pierwszy pasażer poznał jednego z towarzyszów podróży w wagonie.

„Gdzież to pan jedzie?“

„Do Turki, a pan?“

„I ja do Turki.“

„Nie może być.“

„Szkoda, żeśmy się nie zmówili i nie wzięli na wspólny koszt jakiejś porządnej furmanki.“

„Zapewne.“

„Wystaw sobie pan dobrodziej, szelma faktor namówił mnie na tę żydowską budę, zaręczając, że mi będzie wygodnie. Tymczasem napakowało się tak, że siedzimy jak śledzie w beczce . . . a przytem, obawa plagi egipskiej . . . słowem, jeżeliby to panu nie zrobiło różnicy, gotówbym przypisać się do pańskiej furmanki.“

„Kiedy szkapy ledwo się wloką.“

„I tamte nie rącze: jużbym wolał kupić owsa, byle jechać swobodnie.“

Gdy tak traktują, od tej samej strony, zkąd przybyli, nadjeżdża i staje także przed karczmą trzecia furmanka, to jest elegancki powóz, z którego wyskakuje trzeci towarzysz z wagonu.

„A panowie co tu robią?“

„Jedziemy do Turki.“

„I ja także, ale huncfot faktor, jak mnie urządził! Namówił czyjegoś stangreta z za Turki, wracającego próżno do domu, że mnie zabrał, za pieniądze naturalnie. Tymczasem ten teraz powiada, że nie może mnie dalej wieźć, bo się boi, żeby się jego pan nie dowiedział, gdyż spotkał kogoś znajomego z tamtych stron, co mógłby go wydać.“

„I jakże będzie?“

„Możebyśmy mogli jakoś razem we trzech . . .“

„Ale czyż konie dadzą radę?“

„Bardzo wątpię.“

„Nawet trudno będzie pomieścić się na tej furce.“

„Bójcie się panowie Boga! zkąd ja tu wezmę furmanki.“

„Ale jakże zrobić?“

„Gotów jestem dodać chłopu papierka, to może przystanie.“

Wzięto chłopa do narady. Temu widocznie uśmiechała się myśl zarobku, ale niepewny czy zadosyć uczyni zobowiązaniu, skrobał się tylko po głowie i na wszystkie argumenta odpowiadał:

„Abo ja wiem!“

Zafrasowani pasażerowie nie wiedzieli już co począć, gdy nagle ujrzeli nadjeżdżający sporym kłusem porządny i obszerny wózek, zaprzężony w parę dobrych koni, a na nim czwartego pasażera z wagonu.

Już miał przejechać, nie zatrzymując się, gdy nasza spółka nagłą myślą jednocześnie tknięta, rzuciła się naprzeciw wózka i zatrzymała go niemal przemocą, a z trojga ust razem wybiegło pytanie:

„Dokąd pan jedzie?“

„Do Turki“, odrzekł kwaśno pasażer.

„I my do Turki, aleśmy tu osiedli na piasku.“

„A mnie złodziej faktor wyciągnął na koszt; powiedział, że wystara się o furmankę, tymczasem przepadłszy gdzieś, w półgodziny się zjawił i oświadczył, że nie ma żadnej, ale że w mieście jeden obywatel wynajmuje na żądanie konie podróżnym, to do niego trzeba się udać.

Naturalnie, że tak zrobiłem, ale musiałem zapłacić, co chciał."

„A to drab! wiedział, że wszyscy jedziemy w jedno miejsce i tak nas wykierował!" rzekł pasażer z omnibusu, „moglibyśmy byli jechać na wspólny koszt,"

„Zdaje mi się, że możnaby to jeszcze zrobić", zaproponował ten, co przyjechał powozem, stawiając dla wszelkiego bezpieczeństwa nogę na stopniu bryczki, bo obejrzawszy się właśnie spostrzegł, że jego stangret wyrzuca z powozu tłómoczek i zabiera się do odjazdu.

„Dołożymy się", rzekł pierwszy, „każdy w czwartej części i w dodatku damy furmanowi na wódkę."

„A kiedy tak, to i owszem! pomieścimy się bardzo łatwo; tylko wielka szkoda, że nie zrobiliśmy tego odrazu. O szelma żyd! dostał od każdego z nas osobno faktorne."

„Dobrze nam tak! mogliśmy byli porozumieć się zaraz w wagonie."

„Co prawda, to prawda . . . tylko że . . ."

„Jakie że?"

„Ano takie, że u nas bez faktora żydka ani rusz."

Spis rzeczy.

Teodor Jeż, Zygmunt Kaczkowski, hr. Wincenty Łoś, Ignacy Maciejowski (pseud. Sewer), Dr. Józef Orłowski, Czesław Pieniążek, Franciszek Rawita, Józef Rogosz, Józef Rychter, Zygmunt Sarnecki, Henryk Sienkiewicz, Alfred Szczepański, Stefania Ulanowska i wielu innych.

Treść i forma zewnętrzna „Illustrowanej Biblioteki Rozmaitości“, odpowiadająca najwybredniejszym wymaganiom artyzmu i dobrego smaku, jakoteż bajecznie niska cena naszego wydawnictwa, którego tom oprawny kosztuje

50 ct. = 90 fen. = 45 kop.

napełniają nas nadzieją, że takowa cieszyć się będzie ogólną i stałą sympatyą czytającej Publiczności.

Z głębokim szacunkiem

FRANCISZEK BONDY

Wiedeń, I. Annagasse II.